

W UPALNE DNI

NAIPRZYJEMNIEJSZĄ OCHŁODĘ ZNAJDUJE MŁODZIEŻ
ZAŻYWAJĄC KAPIELI W RZECIE LUB BASENACH

Fot. „Świat” W. Prażuch

NA ZŁOT MŁODZIEŻY



CAF
Dzieci koreańskie z Domu Dziecka na Gołotczyźnie uczą się pieśni złotowych pod kierunkiem ZMP-owców z Ciechanowa.

NIC NIE PRZEPADA



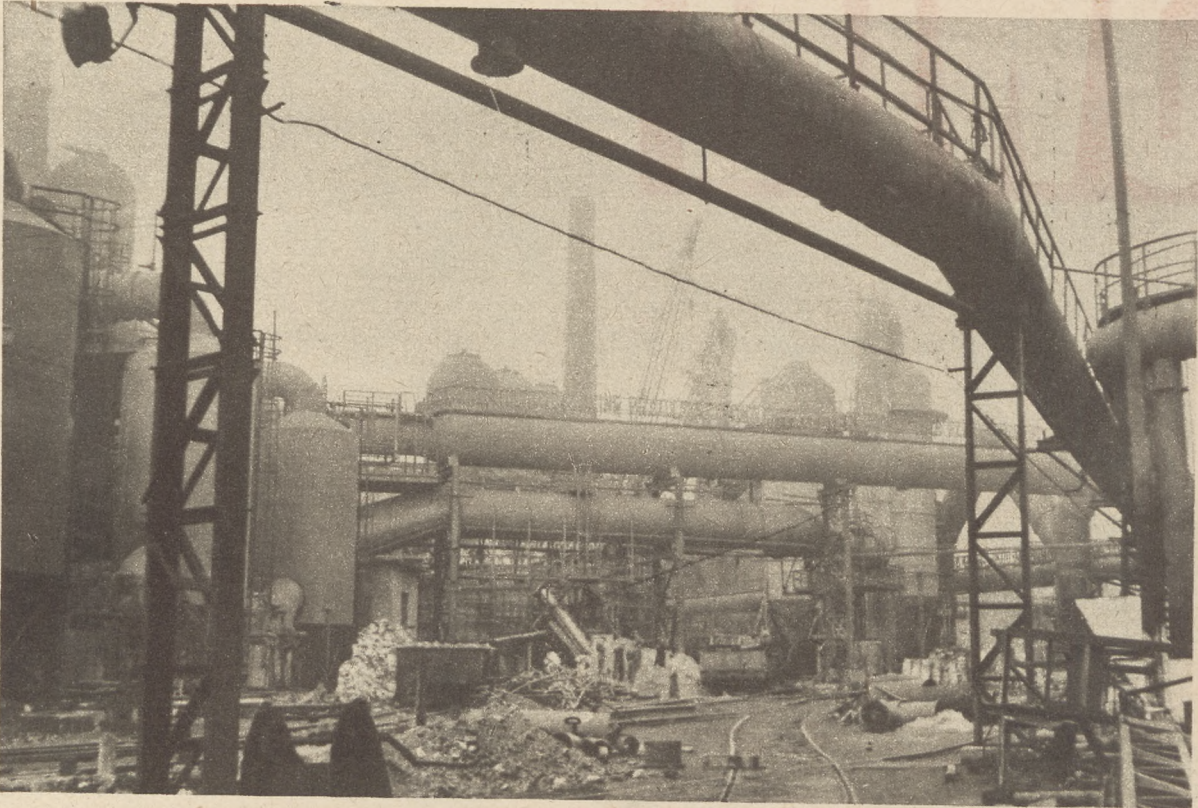
Zespół pracowników PGR-u Kobierzynko wykonał ze złomu motopompę, która przyda się w ich gospodarstwie.

ROZWIJAMY HODOWLĘ OWIEC



CAF
Zgodnie z wytycznymi planu 6-letniego rozwija się poważnie hodowla owiec, dostarczających cennego surowca przemysłowi włókienniczymu. Doskonałe wyniki ma baca L. Chodorowski z rejonu Jaworki w Pieninach.

WIELKI PIEC „C” W HUCIE „KOŚCIUSZKO”



CAF
W hucie „Kościuszko” trwają obecnie prace przy montażu stalowej konstrukcji wielkiego pieca „C”. Brygady monterskie zobowiązały się uczcić Święto 22 lipca skróceniem terminu budowy konstrukcji

ZWYCIĘSKI MECZ „SPÓJNIA”



CAF
Reprezentacja ZZS „Spójnia” rozegrała ostatnio mecz hokeja na trawie z akademicką drużyną wiedeńską AHC — Wiedeń. Mimo że sport ten nie jest u nas popularny, odnieśliśmy zwycięstwo w stosunku 9:1.

WYSTAWA SZKOLNICTWA POLSKIEGO W DREZNIE



Z okazji miesiąca przyjaźni niemiecko-polskiej otwarta została w Dreźnie wystawa „Szkolnictwo Wyższe w Polsce”

NADZWYCZAJNA SESJA ŚWIATOWEJ RADY POKOJU



CAF

W Berlinie obradowała na sesji nadzwyczajnej Światowa Rada Pokoju. Z ramienia ZSRR w obradach wzięli udział m. inn. Metropolita Mikołaj i Zinajda Gagarina.

5-LECIE TOW. PRZYJAŹNI NIEMIECKO-RADZIECKIEJ



CAF

W bieżącym roku obchodzono uroczystości w NRD 5-lecie istnienia Towarzystwa Przyjaźni Niemiecko-Radzieckiej. W obchodach wystąpił znany zespół „Bieriozka”

PRZECIWKO ODBUDOWIE WEHRMACHTU



Keystone

W Norymberdze odbyły się manifestacje młodzieży przeciw remilitaryzacji Niemiec Zachodnich. „Niemcy nie potrzebują koszar, lecz mieszkań” — głosiły transparenty



JESZCZE JEDNO ZWYCIĘSTWO

Paryż, w lipcu

ZWOLNIENIE Jacques Duclos było wielkim zwycięstwem Komunistycznej Partii Francji — zwycięstwem ludu francuskiego, opinii demokratycznego świata. Było jednocześnie wielką klęską wichystowskiego rządu Pinaya.

Rozpadł się montowany w ordynarny sposób spisek policji francuskiej przeciw obozowi postępu we Francji. Żadne z mozolnie formułowanych oskarżeń nie dało się utrzymać po przesłuchiowaniach, które służyć miały za wstęp do wielkiego politycznego procesu. Prasa lewicowa w porę ostrzegła rząd, że proces Jacques Duclos stać się może dla reakcji francuskiej tym, czym był niegdyś dla hitlerowców proces lipski. Przerazili się sędziowie, że znajdują się na ławie oskarżonych.

Aresztowanie Jacques Duclos podniosło falę oburzenia we wszystkich środowiskach społecznych. Widmo odradzającego się faszyzmu poczęło oblekać się w ciało — ujrzeli to ci wszyscy, którzy dotąd jeszcze byli ślepi. Nie pomogły prześladowania działaczy związków zawodowych na prowincji. Od chwili słynnych demonstracji przeciw generałowi-dżumie, wstąpiło do Partii Komunistycznej w departamencie Sekwany 500 nowych członków.

150 patriotów aresztowanych 28 czerwca zostało zwolnionych. Jeszcze jedno zwycięstwo.

Wielcy pisarze, którzy dotąd trzymali się na uboczu, z dala od spraw publicznych, chwytają za pióro, alarmują opinię publiczną. Pisarze komunistyczni wzmagają jeszcze swoją batalię: Aragon pisze piękny poemat dedykowany Jacques Duclos. Duclos osadzony w więzieniu Santé, w celi sąsiadującej z celą w której siedział niegdyś bohaterski Gabriel Péri, był zakładnikiem podobnie, jak za czasów hitlerowskich byli nimi patrioci francuscy; rząd bowiem,

osamotniony we własnym kraju, w obawie przed własnym społeczeństwem, odbiera mu jednego z najlepszych synów, by sparaliżować zwróconą przeciw sobie walkę o sprawy robotnicze, by sparaliżować akcję przeciw wojnie. Ale nie odpowiedzą na to milczeniem doki portowe w Bordeaux i Hawrze, silny okrzyk protestu zagłuszy maszyny fabryk, zacznie manifestować paryska ulica, odezwą się żołnierze gdzieś z dalekiej Bizerty. Przyłączą do nich swe głosy księża i zbór protestancki i działacze katolicy w Sèvres.

Sfałszowane przez wichystowskich komisarzy dokumenty, oskarżające działalność partii komunistycznej, nie zostały ogłoszone przez rząd. Trzeba było wyznać, że teki prokuratorskie są puste. Jacques Duclos jest wolny.

Minister Brune nie ośmielił się stanąć przed swoim oskarżonym, nie doszło do konfrontacji, której żądał zakładnik. W czasie dwukrotnych przesłuchiwań przez sędziego — Duclos zamienił się w nieubłagane oskarżyciela. Odpowiedzi i listy aresztowanego bezprawnie przewodniczącego opozycji parlamentarnej przejdą do historii.

Burżuazja francuska widzi coraz wyraźniej pogarszającą się sytuację. Bezrobocie zaczyna dotykać coraz silnie dziedziny przemysłu nie związanych bezpośrednio z przygotowywaniem wojny. We wszystkich wyborach do CGT Partia Komunistyczna utrzymuje swoją pozycję i ilość głosów.

W dziedzinie polityki zagranicznej — zbrojenie Niemiec i wzrastające wymagania amerykańskie wzmagają przeciwności z którymi boryka się rząd.

W walce o uzdrowienie tych stosunków i w walce o pokojową przyszłość naród francuski zacieśnia jednolity front. Akcja jego przynosi zwycięstwa. Sprawa Jacques Duclos jest tego znakomitą przykładem.

FRANCIS CREMIEUX

SOCJALISTA JEJ KRÓLEWSKIEJ MOŚCI ...STRZEŻE TRADYCJI IMPERIUM BRYTYJSKIEGO

PRZED mikrofonem rozgłośni londyńskiej przemówił niedawno „sam” Clement Attlee, przywódca Labour Party, leader „najlojalniejszej opozycji Jej Królewskiej Mości”. Socjalista Jej Królewskiej Mości pofatygował się osobiście po to, aby przemówić do narodów, mieszkających w krajach niekapitalistycznych.

Narodom, budującym socjalizm, pan Attlee postanowił opowiedzieć o tym, jaka to całkowita wolność panuje w krajach Imperium Brytyjskiego.

— Przed pięciu laty, powiedział pan Attlee, mieszkańcy Indii, Pakistanu i Cejlonu — ponad 400 milionów ludzi — zdobyli całkowite zrównanie z Brytyjczykami. Nie znam żadnego innego przykładu, aby jakikolwiek kraj, po latach władzy imperialistycznej dał z własnej woli wolność ujarzmionym narodom, powiedział pan Attlee.

Prawda, jakie to miłe, proste i... prawdziwe. „Z własnej woli”, powiada pan Attlee, przemilczając skromnie, że już wojska dobrej królowej Wiktorii kartaczami rozstrzeliwały zbuntowanych Hindusów, a wojska dobrej królowej Elżbiety gazami trującymi pacyfikują dzisiaj zbuntowanych Malajów. Tylko przez skromność przemilcza pan Attlee, dlaczego buntowali się tamci, czemu buntują się dzisiaj Malajowie i jak wiele ofiar i krwi trzeba, aby naród kolonialny wymógł jakiejkolwiek ustępstwo na dobrych Anglikach.

Naturalnie, wymagać, aby socjalista Jej Królewskiej Mości wyznał, że istnieje rzeczywiście — jeden jedyny w historii — przykład, kiedy naród rosyjski, zrzucając imperialistyczne jarzmo carów, dał naprawdę z własnej woli wolność narodom, ujarzmionym od wieków przez carat — to by już było naiwne.

„Przed kilkoma laty mieszkańcy Burmy, która znajdowała się pod panowaniem brytyjskim, oznajmili, że pragną niepodległości i zamierzają wystąpić ze Wspólnoty Brytyjskiej; Brytania zgodziła się z tym od razu...” — powiedział pan Attlee. Oczywiście, znów tylko przez skromność, przemilczał, jak to wtedy, w 1949 roku, wojska kontrolowane przez rząd labourzystów pana Attlee, stłumiły powstanie w Burmie. Po co zaprzętać głowę słuchaczom? Przecież te dzikusy za żelazną kurtyną z pewnością gazet nie czytają i nie wiedzą o tym. A może wiedzieli, ale dzisiaj już zapomnieli?

Po takim opisie kolonialnej polityki brytyjskiej przeszedł pan Attlee do wzruszającego opisu zdobyczy brytyjskiej klasy robotniczej pod władzą labourzystowską. Nie będziemy go cytowali obszernie, nie będziemy też pytali, czemu to w pięć lat po wojnie, pięć lat spędzonych właśnie pod władzą labourzystów, przeciętnemu Anglikowi żyje się znacznie gorzej, niż na początku tego pięciolecia? Odpowiedź jest przecież znana powszechnie.



Winston Churchill powiedział podczas kampanii przedwyborczej o Attlee złośliwie, że to „owca w owczej skórze”. Czy nie słuszniej będzie powiedzieć: „adwokacik Imperium w skórze pseudosocjalisty?”

*

Jak gdyby po to, aby specjalnie wyszydzić wystąpienie adwokacika krwawego Imperium, „Times” zamieścił w tym samym dniu małą korespondencję „od własnego korespondenta” z

Singapore. Tytuł: „Zwiększone nagrody za zabicie lub ujęcie”. I w tekście dosłownie:

„Rząd federalny ogłosił dzisiaj podwyższoną tabelę nagród za zabicie lub ujęcie czołowych komunistów malajskich. Są one trzykrotnie wyższe od nagród, ofiarowanych w czerwcu roku ubiegłego”.

Potem następuje rzeczowa, giełdowa tabelka. „Za ujęcie Czin Penga; sekretarza generalnego „centralnej rady wykonawczej Komunistycznej Partii Malajów” — 250.000 dolarów; za martwego Czin Penga — połowa tej sumy. Za innych członków Biura Politycznego — 200.000 i połowa za martwego. Za członków komitetów dzielnicowych — 75.000 i 35.000, za żywego lub martwego”. „Nagrody za innych członków partii pozostały w stosunku do zeszłorocznych niezmiennie i wahają się od 2.500 do 18.000 dolarów”.

Pomyślcie, Czytelnicy. Tę tabelkę ułożył nie hitlerowski Gauleiter czy SS-fuehrer, tylko przedstawiciel dobrego Imperium, wychwalanego przez Clementa Attlee, generał sir Gerald Templer, Wysoki Komisarz tego dobrego Imperium na Malajach. Tę tabelkę wydrukował nie jakiś tam hitlerowski organ na okupowanych ziemiach, rządzonych przez SS, tylko czcigodny organ spokojnych mieszczan brytyjskich, londyński „Times”, pismo, na którego następnej karcie, w cyrkularzu dworskim, czytamy co robiła tego dnia dobra królowa Elżbieta. I z pewnością nie widzi czcigodna redakcja najstarszej kapitalistycznej gazety na świecie nic zbrodnego ani plugawego w tej potwornej ciele zbrodni. Jej czytelnicy w Anglii z pewnością nie oburzą się przecież.

A za granicą? W krajach budujących socjalizm? Tam nie czytają „Timesa”, tam tylko słuchają radiowych przemówień pana Attlee — tak sobie pewno myślał w Londynie. Już pan Attlee wszystko wytłumaczy i jakoś obroni honor szlachetnego Imperium.

Mała korespondencja w „Times” więcej mówi o Imperium Brytyjskim, niż by potrafił nie tylko pan Attlee, ale całe kierownictwo jego partii. Mówi o potwornym zezwierzęceniu brytyjskich kolonizatorów i mówi też o bohaterstwie i poświęceniu Malajczyków, których, jak widać, zeszłoroczne — również dość już wysokie — nagrody pieniężne nie potrafiły skłonić do podłej, judaszowej zbrodni...



„Złota wolność” w Afryce Południowej, czyli prawo robotników do zbierania uderzeń policyjnych patek. 56 ofiar padło w szarży policji w Johannesburgu



Obywatele innego dominium brytyjskiego — Indii, też korzystają z zagwarantowanego im przez Imperium prawa do głodowania i mieszkania w nędznych lepiankach



Stare są tradycje brytyjskiej polityki kolonialnej — przed pół wiekiem żołnierze tak samo „dzielnie” walczyli z Burami w Afryce Południowej, jak dziś ci „dziarscy”...



...spadochroniarze Jej Królewskiej Mości strzelają w zarośla dżungli, gdzie — jak im się wydaje — czatują walczący o wolność malajscy patrioci



Czterdziestu jeden Egipcjan poległych z rąk Brytyjczyków w Izmailii — to tylko jeden z dowodów, że idea zbudowanego na krwi i przemocy Imperium... żyje nadal

WIEDZIE ICH WSPÓLNA DROGA

Tekst: TADEUSZ SARNECKI Rysunki: T. GLEB Zdjęcia: J. KOSIDOWSKI i CAF

„**S**A u nas wieś przodująca, dająca przykład swojej świadomości obywatelskiej, ofiarnej pracy, wysiłku dla podniesienia produkcji i wypełniania swych obowiązków wobec ludowej Ojczyzny. Jednak wieś jako całość pozostaje wciąż jeszcze w tyle za ogromem wysiłku i ofiar, które dla dzieła uprzemysłowienia składa klasa robotnicza, podnosząca wydajność naszych fabryk — mimo że jej warunki, często jeszcze trudne, są w dodatku utrudniane przez machinacje spekulantów wiejskich i miejskich.

„W jaki sposób zwiększyć wkład chłopów do wspólnej sprawy, aby był godny naszej wsi, godny jej pięknych tradycji walk o Polskę Ludową?”

To pytanie, rzucone przez wicemarszałka Sejmu Romana Zambrowskiego, zdawało się dźwięczeć do samego końca obrad, wisieć nad każdym z mówców, domagać się odpowiedzi.

Drugi Krajowy Zjazd Korespondentów Chłopskich odbywał się w niecałe dwa tygodnie po VII Plenum Komitetu Centralnego PZPR, na którym Prezydent Bierut mówił o umocnieniu spójności między miastem i wsią w obecnym momencie rozwoju naszego Państwa. „Przy kapitalizmie — powiedział wtedy Prezydent — „miasto pożera wieś”, skazuje ją na nędzę bez wyjścia, natomiast w ramach sojuszu robotniczo-chłopskiego klasa robotnicza pomaga chłopstwu pracującemu nie tylko podnosić swój poziom życiowy, ale i przejść do innych, stokrotnie wyższych, wydajniejszych form gospodarowania, które są ręką do rosnącego dobrobytu”.

Już na pierwszym krajowym zjeździe korespondentów wiejskich zgodzono się, że korespondent nie może ograniczyć się do samego pisania, że powinien stać się aktywnym działaczem terenowym, przekształcającym wokół siebie życie w kierunku jego pełnego uspołecznienia.

W jaki więc sposób zwiększyć wkład chłopów do wspólnej sprawy? Z odpowiedzią na to pytanie niewiele miała kłopotu uczestniczka Zjazdu — Józefa Kołodziejczykowa. Siedziała w prezydium nieporuszona, jakby kamienna. Wyglądem swym przypominała kobiety wiejskie z drzeworytów Kulisiewicza; rysy twarzy miała ostre, wyraziste, w oczach głębokie doświadczenie i spokój. Gdy zabrała głos, mówiła bez podniecenia i myśli swe wypowiadała jasno.

Pochodziła z częstochowskiego powiatu, z rodziny doświadczonej niejedną biedą. Sprzed wojny szczególnie żywo utkwiała jej w pamięci sąsiadka, która, spodziewając się dziecka, nie więcej jak 50 groszy schowała pod poduszkę, aby mąż nie zabrał ich na papierosy; dopiero gdy zległa kupiła sobie za te pieniądze pół kilo cukru — był to cały luksus, na który mogła sobie w chorobie pozwolić.

Kołodziejczykowa, przedsiębiorcza z natury, tuż po wojnie zorganizowała grupę 34 rodzin, wystarała się o bezpłatny transport i wyjechała na Dolny Śląsk, gdzie z mężem szybko zagospodarowała się na nowej zagrodzie. Nigdy nie pomyślała nawet o szabrowaniu. W okresie poprzedzającym założenie spółdzielni, kupiła drugą krowę i konia. Inni chłopki kpili z niej po cichu, a mężowi radzili: „Spółdzielnia na karku, a ty młodego konia kupujesz? Kup takiego, żeby tylko przy dyszlu stał, bo ci w spółdzielni zabiorą”.

— A mąż powiedział... — Gdy Kołodziejczykowa doszła do tego momentu opowiadania na jej blada twarz po raz pierwszy wystąpiły rumieńce — A mąż powiedział: „Jeżeli założą spółdzielnię, to po to, żebyśmy mogli lepiej żyć. Honor mój by mi nie pozwolił, żebym z takim lichym koniem szedł do spółdzielni produkcyjnej”!

Kołodziejczykowa znalazła też dość sił, aby uchronić spółdzielnię od upadku, zapewnić jej trwały rozwój. Początkowo ludzie niechętnie wychodzili do pracy, ginęły narzędzia, całymi furami wywożono gdzieś zboże. Chodziła najpierw od domu do domu i wypytywała kto kradnie. Zawsze słyszała tę samą odpowiedź: „Nie, nie powiem. Nie

chcemy być najgorszymi”. Nie zlekła się tego epitetu. Obserwując uważnie gospodarstwo doszła do wniosku, że wspólne mienie sprzeniewierza sam przewodniczący. Podejrzenie okazało się słuszne, przewodniczącego aresztowano, do zarządu weszli nowi ludzie i praca w spółdzielni potoczyła się już normalnie. Między ludźmi zapanowała zgoda. Widząc, że nowe kierownictwo jest uczciwe, chętniej wychodzili do pracy i plony mieli obfite.

W miarę, jak Kołodziejczykowa mówiła o swym życiu i pracy, bardziej zrozumiała stawała się cała jej postać: to wszystko, co przypominało kobiety z drzeworytów Kulisiewicza, pochodziło z dawnych doświadczeń; dzisiejszy spokój wywodził się z drogi, jaką obrała, z przekonania, że walczy o słuszną sprawę.

— Zaczęłam robotę między kobietami — stwierdziła na zakończenie — bo jeżeli kobieta będzie uświadomiona, największą może zrobić propagandę, bo ona wychowuje dzieci.

* * *

Sprawa rozwoju spółdzielni produkcyjnych stała się głównym tematem dyskusji. Niektórzy z mówców byli zażenowani tym, że reprezentowali środowisko wsi jeszcze nieuspołeczniczonych. Po przemówieniu Prezydenta Bieruta, na VII Plenum, w którym nawoływał, aby „wzmocnić wysiłki w kierunku stopniowej przebudowy drobnej, indywidualnej gospodarki chłopskiej w wielką, uspołecznioną gospodarkę zespołową”, powstała dla tego rodzaju wysiłków odpowiednia atmosfere-

ra. I góral, Jacek Michniak z Janisza na Podhalu, mówiąc głównie o przeludnieniu jego stron, o kłopotach z księgami gruntowymi w gminie, nie ominął tego tematu.

— Co do spółdzielczości produkcyjnej, dużo mówi się o tym, że rolnicza spółdzielczość produkcyjna u nas odpowiadać nie będzie z tego powodu, że ziemi uprawnej jest niedużo. Chyba, że będzie odpowiadać spółdzielczość hodowlana. Tych ludzi w hodowli mamy za dużo, wszyscy nie mogą być juhasami albo bacami. Ale źle o tych spółdzielniach u nas się nie mówi. W każdym razie coraz bardziej tym się interesują, jak temu zaradzić, żeby do lepszego zdążać.

Dokończenie na str. 6



Korespondentka Aniela Pawłata, z łowickiego, agituje we własnej wiosce za założeniem spółdzielni i stwierdza wprost: — Przrzekam wam wszystkim, że na przyszły zjazd przyjadę już jako członkini spółdzielni.

Ciechanowicz z powiatu mławskiego radził, aby „w każdym powiecie istniała jedna przynajmniej spółdzielnia wzorowa, która by promieniowała na inne spółdzielnie, względnie na gospodarstwa, które jeszcze pracują indywidualnie”.

Inni, dosyć liczni mówcy, skarżyli się, że w akcji zakładania spółdzielni natrafiają na silne jeszcze opory. „A dlaczego wróg klasowy walczy ze spółdzielniami? — Zastanawiał się głośno Jan Zdyb — Bo boi się tych cyfr, które ukazują lepszą wydajność z ha czy zespołowej pracy, bo te cyfry stają się grabarzem polityki propagandy kułackiej”.

„Kułactwo — uświadamiał Prezydent Bierut na VII Plenum — jako klasa jest ostatnią redutą kapitalizmu w naszym kraju, wrogiem władzy ludowej, a więc wrogiem nie tylko robotników i biedoty wiejskiej, ale i średniorolnego chłopca, wrogiem całego ludu pracującego”.

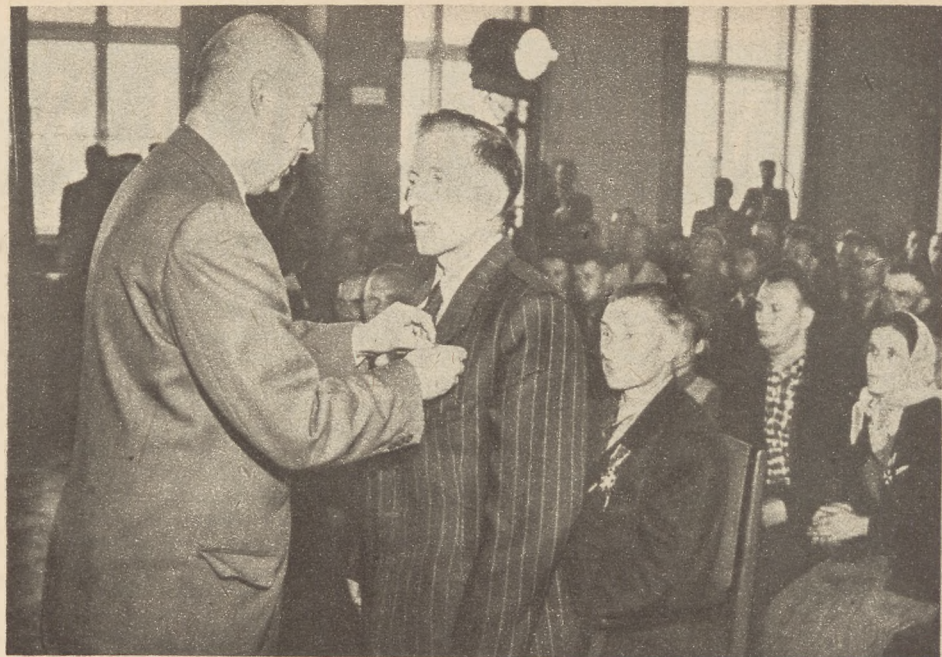
przynosi zwykle natychmiastowy skutek, szybszy niż bezpośrednia interwencja w urzędach na miejscu nadużyć.

Ale jest to tylko jedna strona działania korespondenta, konieczna i skuteczna, lecz nie jedyna. Wspomniany już Zmysłowski, widząc, że przygotowania do zlotu ZMP szły w jego terenie niemrawo, napisał do „Głosu Olsztyńskiego” wyróżniając kilku najlepszych przodowników. Po ukazaniu się tego artykułu posypały się nowe, liczne zobowiązania przedzłotowe.

Również Pawłata porzuciła system krytyki dla samej krytyki. „Polowałam tylko na okazję — zwierzała się przed uczestnikami Zjazdu — żeby kogoś skrytykować, stałam z boku i obserwowałam. Krytyka moja była słuszna, ale niesłuszne było moje stanowisko wobec ludzi. Należało brać udział w życiu gromady, wychowywać ludzi, bo do pracy w radach, GS, przychodzi często chłop od pług, nie trudno mu się potknąć, a ja zamiast mu pomóc, pisałam zaraz do gazety”.

* * *

Zastłuchani w słowa mówców odnajdywali własne życie w przeżyciach innych korespondentów wiejskich, z ich



Na zakończenie drugiego dnia obrad premier Józef Cyrankiewicz dekorował srebrnymi i brązowymi Krzyżami Zasługi najwybitniejszych korespondentów



Jacek Michniak



Józefa Kołodziejczyk



Ferdynand Napiórkowski

Wróg ten nie zawsze łatwy jest jednak do rozpoznania. Czasem nie obsiewa ziemi i namawia do tego innych, rozpija urzędników, daje łapówki, uprawia kumoterstwo. Czasami jak faryzeusz lituje się nad biedakiem, pożyczka mu pieniędzy, żywności, lecz później odbiera sobie wszystko z ściągi lichwiarskim procentem. Inna postać wroga zagnieżdżyła się w biurokracji, jeszcze inna sieje niewiarę w postęp. Można być pewnym, że w każdej krzywdzie osobistej ukrywa się wróg lub biurokrata, że usunięcie tej krzywdy osobistej przybliży ostateczne zwycięstwo socjalizmu.

W Państwowym Gospodarstwie Rolnym w Krzeszowie był agronom, który na prawo i lewo szafował majątkiem państwowym, a nikt nie protestował. Sam brał jak najlepsze ziarno, a robotnikom dawał pszenicę przerośniętą, zakisłą. Szerzyło się wskutek tego niezadowolenie, słychać było niesłuszne sarkania na ustrój ludowy. Jednocześnie księgowy i kalkulator, Stefan Dobrak, nadużywał dobrej wiary robotników nie dopisując im należnych dniówek. Pił co tydzień, widocznie za przywłaszczone zarobki. Obu jako szkodników zdemaskował korespondent „Robotnika Rolnego”, Józef Zieliński.

W Olsztyńskim korespondent „Chłopskiej Drogi”, Zmysłowski, zdemaskował referenta kontraktacji, Puczkę, który umowy z chłopami spisywał przez kalkę bez wypełniania rubryk, zawierających obszar pola, na którym posiano zakontraktowaną roślinę. Oszukując chłopów dla własnej korzyści, dopisywał odpowiednią liczbę później.

Kierownik poczty w Józefowie pobierał wyższe niż się należało opłaty za paczki i fałszował czek, przywłaszczając sobie w ten sposób 8000 złotych. Te znów nadużycia wykrył siedemnastoletni uczeń liceum w Pułtusku, Ferdynand Napiórkowski.

Trudno wymienić wszystkie, przytoczone przez korespondentów fakty z terenu. Mówił o tym w swym przemówieniu Prezydent Bierut, nakazując walczyć z rozrzutnością, marnotrawstwem, rabunkiem mienia publicznego, z kumoterstwem i biurokratyzmem. Szybkie działania korespondentów

przeżyć i doświadczeń dowiadywali się co może ich jeszcze spotkać ze strony wrogów. Nie przerażało ich to, że tak często grożono im zemstą. Przeciwnie — pogrozki i szantaże wroga zespoliły ich ze sobą tak silnie, jak niebezpieczeństwo wspólnej walki jednocy żołnierzy na froncie.

Ogólnokrajowa narada korespondentów wiejskich była jakby drugim Sejmem, na którym wypowiedziała się cała opinia pracującego chłopstwa, wykazując zarówno dojrzałość polityczną, jak i gospodarską troskę o państwo. Delegaci z pełną swobodą przedstawiali wszystkie swe sprawy. „Przy stole prezydiatnym siedzi premier i wicemarszałek Sejmu — powiedział jeden z delegatów, Karol Dązek — ale ja mówię po prostu to, co mi leży na sercu, bo mamy prawo głosu w wolnej Ojczyźnie”.

Jak to prawo głosu uszanowane było przez Rząd, świadczy następujący wypadek. Korespondent Szczypek spod Szczecina powiedział, że miejscowe władze pragną zabrać budynki spółdzielcze, aby przeznaczyć je na inne cele i premier Cyrankiewicz już następnego dnia mógł oznajmić, że na interwencję ministra rolnictwa Wojewódzka R. N. na specjalnym zebraniu natychmiast powzięta uchwała, przyznająca te budynki raz na zawsze spółdzielcom.

Korespondent wiejski w obecnym życiu Polski odgrywa istotnie doniosłą rolę. Jest on bojownikiem o sojusz robotniczo - chłopski, o umocnienie solidarności między miastem a wsią. Piórem, słowem, działalnością społeczną bije się on o praworządność, o sprzęt zbóż w terminie, o pełne wykonanie umów zawartych ze spółdzielcami przez POM-y, o maksymalną sprawność maszyn, o zawarcie przez GOM-y jak największej liczby umów, o uprawę i sprzęt płodów rolnych u małorolnych i średniorolnych chłopów.

Wicemarszałek Zambrowski rozwijając niektóre myśli z referatu Prezydenta Bieruta z całym naciskiem stwierdził, że trzeba, „aby korespondenci włączyli się w pełni w pracę nad wydobyciem wszystkich rezerw, jakie dają się uruchomić w naszej gospodarce chłopskiej, aby zapewnić wzrost produkcji w tych gospodarstwach”.

Pytanie, w jaki sposób zwiększyć wkład chłopów do wspólnej sprawy, nie zawisło w próżni, znalazło pełną odpowiedź. „Od was — powiedział właśnie na zakończenie wicemarszałek Zambrowski — od korespondentów w dużej mierze zależy, żeby w tej walce o rozwój spółni chłopów czuć, że tu idzie o jego przyszłość, jego naród, o siłę jego Ojczyzny, o pokój dla jego dzieci”.

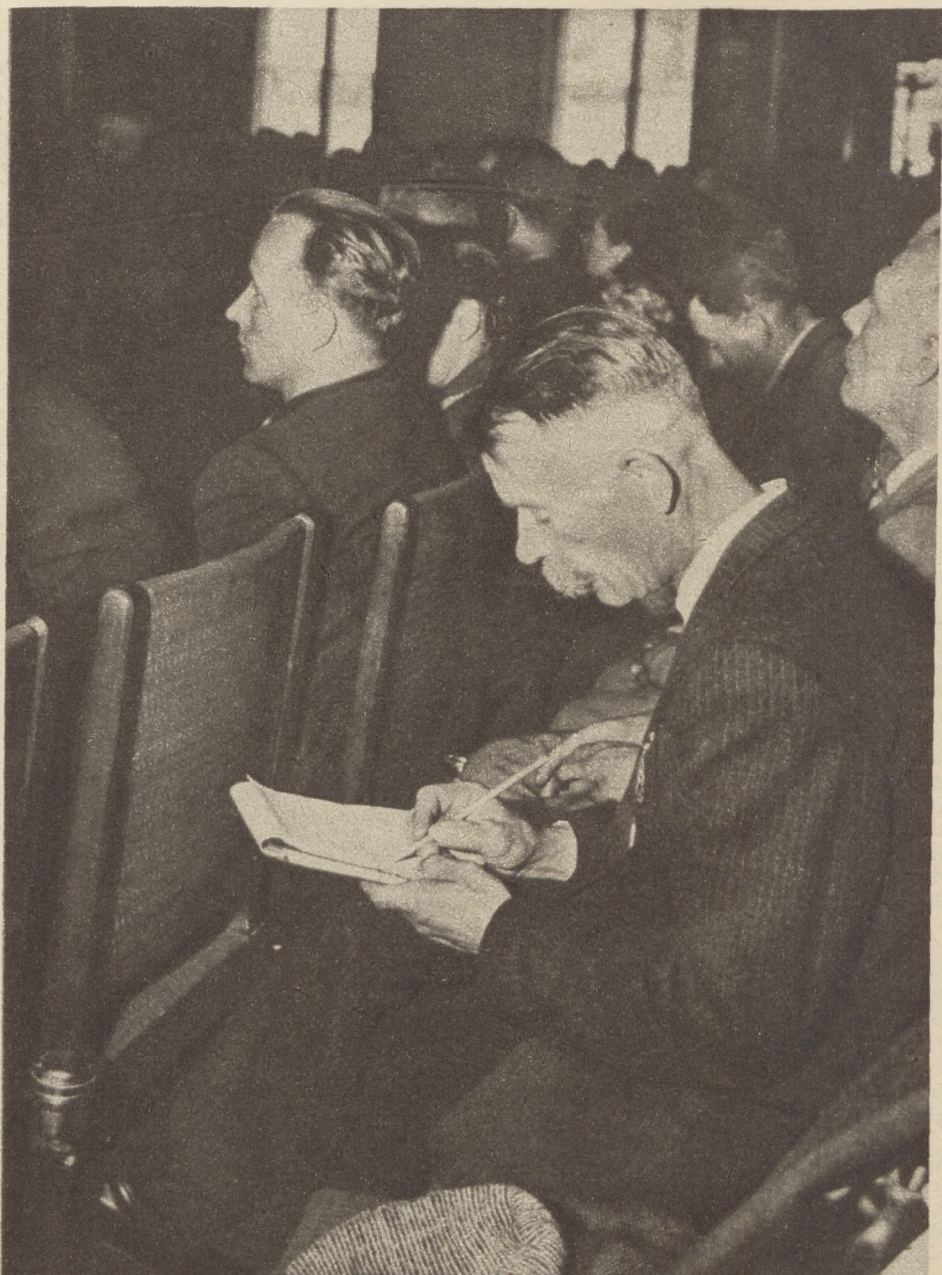
Te poważne zadania przyjęte zostały bez wahania, jak świadczy o tym choćby znany powszechnie list uczestników narady do Prezydenta Bieruta. Nikt z korespondentów nie opuścił Warszawy w przekonaniu, że po odjeździe kontakt z nim znacznie się rozluźni. Przeciwnie, gdy stwierdzono, że w ciągu dwu dni obrad zabierze głos część tylko zgłoszonych do dyskusji, powzięto uch-

wałę, aby pozostali przesłali swe przemówienia na piśmie. Czas więc jeszcze jakiś trwać będzie narada korespondentów w tej szczególnej formie, w listach, które przestudiuje specjalne biuro.

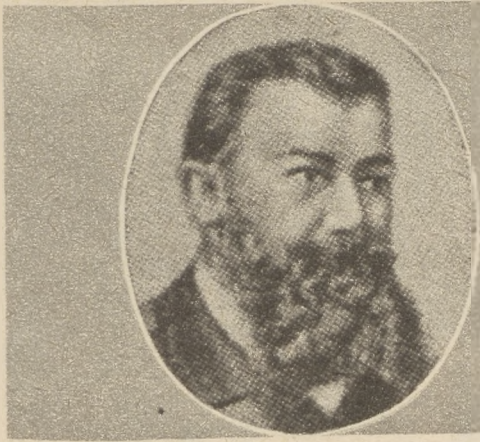
Wielu uczestników narady, jak Józef Zieliński, Antoni Włodarski, Jacek Michniak, Marian Jarosz, przrzekli, że zdobędą nowych korespondentów. Wkrótce rozszerzy się też niewątpliwie ich sieć w całym kraju, „aby nie od partii poprzez gazetę biegła do wszystkich bez wyjątku okręgów robotniczych i chłopskich, aby wzajemne oddziaływanie między partią oraz państwem z jednej strony, a przemysłowymi i chłopskimi okręgami z drugiej — było całkowite”.

...Są to słowa Stalina.

TADEUSZ SARNECKI



Referat wicemarszałka Romana Zambrowskiego pochłoniął uwagę całej sali, budził nowe postanowienia. Szczypek, nie ufając pamięci, zanotował je w notiesie

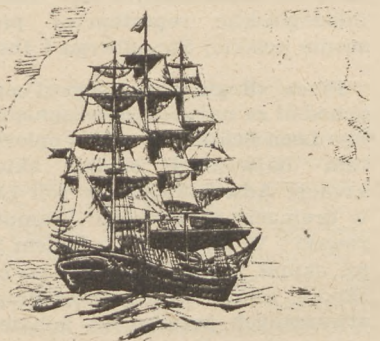


Aleksander Możajski - twórca pierwszego samolotu

Napisał JANUSZ KĘDZIERSKI

20 LIPCA br. mija 70 lat od chwili, kiedy oderwał się od ziemi pierwszy samolot świata, zbudowany przez Rosjanina Aleksandra Możajskiego. Historia światowego lotnictwa pisana na Zachodzie, starała się przez dłuższy czas przemilczeć ten fakt, przypisując pierwsze loty (dopiero w grudniu 1903 r.) braciom Wright. Niezbite dowody są jednak silniejsze od wymysłów historyków zachodnich: zachowały się wyćinki z ówczesnych pism, dotyczące tego wspaniałego wynalazku, patenty naukowe oraz oryginalne zapiski i plany Możajskiego.

Fregata „Diana” przeszedłszy ciężki szwank na Morzu Północnym wypływała na wody kanału La Manche. Stojący na rufie porucznik marynarki Aleksander



...fregata „DIANA” wchodziła na wody kanału La Manche...

Możajski starał się przebić wzrokiem gęstniejącą mgłę.

W pewnej chwili pisk i odgłos upadku jakiegoś przedmiotu na pokład zwróciły uwagę oficera. Wśród gmatwaniny lin zauważył dużą, morską mewę. Możajski bez trudu złapał ptaka — miał on złamane skrzydło. Zszedłszy do kajuty porucznik zrzucił ociekającą wodą płaszcz i zabrał się do opatrunku. Nastawił kosteczki i obandażował długie, piękne skrzydło.

— Polatasz jeszcze — mruknął trochę do siebie, a trochę do wystraszonego ptaka.

Tej nocy Możajski późno poszedł spać. Z szafy przepełnionej książkami wyjął swój ulubiony gruby zeszyt w płóciennym oprawie i siadłszy za kolebiącym się stołem, zaczął skrupulatnie notować uwagi o właściwościach lotnych skrzydła mewy.

Aleksander Możajski interesował się zagadką latania już jako młody chłopiec. Od początku służby na morzu zapisywał systematycznie wnioski z obserwacji ptaków. Z czasem setki stronic — sławnego później, do dziś zachowanego — płóciennego zeszytu wypełniły się cyferkami dotyczącymi prawideł latania i budowy statku powietrznego.

Na trzymasztowej fregacie „Dianie”, gdzie otrzymał stopień oficera, przeżył Możajski straszliwy sztorm. Fregata zatonała — załódze udało się jednak uratować i dopłynąć na łodziach do brzegu jednej z wysp należących do Japonii.

Rozbitkowie skazani zostali na długi pobyt na wyspie — bowiem w tym czasie nie dochodziły tam żadne statki pasażerskie. Możajski rzuca wówczas niezwykle śmiały projekt: załoga pod jego kierownictwem wybuduje sobie okręt! Po upływie niespełna sześciu miesięcy nowy dwumasztowy szkuner był gotów. Trzydziestoletni porucznik marynarki wojennej okazał się znakomitym konstruktorem.

Od tego pamiętnego wydarzenia porucznik, a wkrótce potem kapitan pierwszego stopnia, Możajski służył na morzu jeszcze kilka lat. W tym właśnie okresie skrytykował się w jego umyśle zamiar poświęcenia się wyłącznie lotnictwu. Po wojnie Krymskiej Możajski porzucił służbę w marynarce i został urzędnikiem w małym miasteczku. W ten sposób mógł poświęcić wiele czasu zagadnieniu, które go pasjonowało od lat — konstrukcji statku powietrznego.

Pewnego ranka 1876 roku mieszkańcy miasteczka, w którym mieszkał Możajski, ujrzeli zdumiewający widok. Spod miejskiej góry pędziła bryczka zaprzężona w trzy ręce konie. Za bryczką na długim sznurze unosił się wielki latawiec, a pod nim, na specjalnym urządzeniu wisiał Możajski. Był to pierwszy na świecie zakończony pomyślnie lot człowieka na latawcu (dziesięć lat wcześniej od Franza Maillo).

Ten sukces potwierdził w pełni dotychczasowe obliczenia starego marynarza. Znowu kartki płóciennego zeszytu zaczęły się wypełniać kolumnami cyferek, aż wreszcie ostateczne wyliczenia i rysunki konstrukcyjne były gotowe.

Aleksander Możajski nie popełnił błędów późniejszych wynalazców budujących od razu wielkie maszyny, które choć teoretycznie posiadały wielkie zalety, to jednak nie zdołały się nigdy wzbić w górę.

Rozpoczął od prób lotu na małym modelu samolotu, który dopiero stopniowo ulepszał. Przygotowania do budowy samolotu o normalnych rozmiarach napotykały jednak na znaczne trudności natury finansowej i politycznej. Wyczerpawszy na prace doświadczalne oszczędności całego swego życia, wynalazca znalazł się w niezwykle trudnym położeniu materialnym.

Drugą, znacznie większą trudnością był wybitnie nieprzychylny stosunek carskiego Głównego Urzędu Inżynierii. Możajski wykazał w ciągu całego swego życia, że jest obdarzony wielkimi zdolnościami konstruktorskimi i że umie pracować twórczo. Jego szczerą naturą nie znosiła obłądy, nie lubił — jak to się mówi — owijać prawdy w bawełnę, miał więc wielu wrogów w kołach rządowych ówczesnego Petersburga. Baronem kurlandzkim, którzy dominowali wówczas w wyższych sferach wojskowych, nie mogło się po prostu pomieścić w głowie, że Rosjanin, i to bez żadnej pomocy zagranicznej, waży się na budowę czegoś tak zupełnie nowego i skomplikowanego, jak maszyna powietrzna.

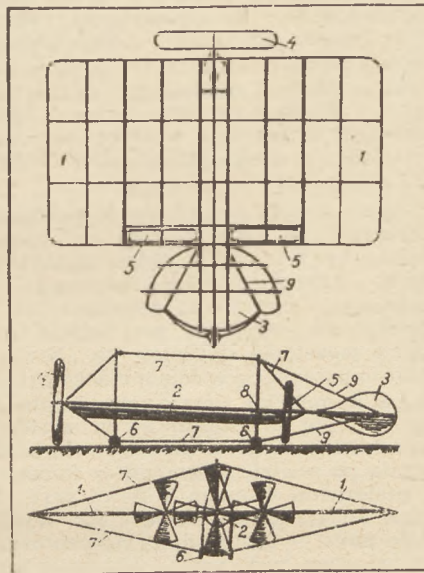
Te wszystkie trudności nie załamały Możajskiego. Pracuje niezmordowanie dalej i 3 listopada 1881 roku uzyskuje patent na wynalazek samolotu z napędem parowym.

Nadszedł wreszcie wielki dzień — dzień ostatecznej próby. Na skraju obszernej łąki pod Petersburgiem wielki samolot polyskiwał lakierem żółtych płatów. W promieniu wielu kilometrów stanęły gęste posterunki z pobliskiego pułku piechoty. Żołnierze mieli surowo zapowiedziane nie dopuszczać ciekawych i zachować absolutne milczenie o tym, co zobaczą.

Członkowie komisji techniczno - wojskowej, z poważnymi generałami na czele — mocno niezadowolonymi już na samą myśl, że wynalazek jakiegoś dzikawa może zburzyć nie tylko ich wiedzę wojskową, lecz również i cały światopogląd — stanęli na miejscu wskazanym przez Możajskiego.

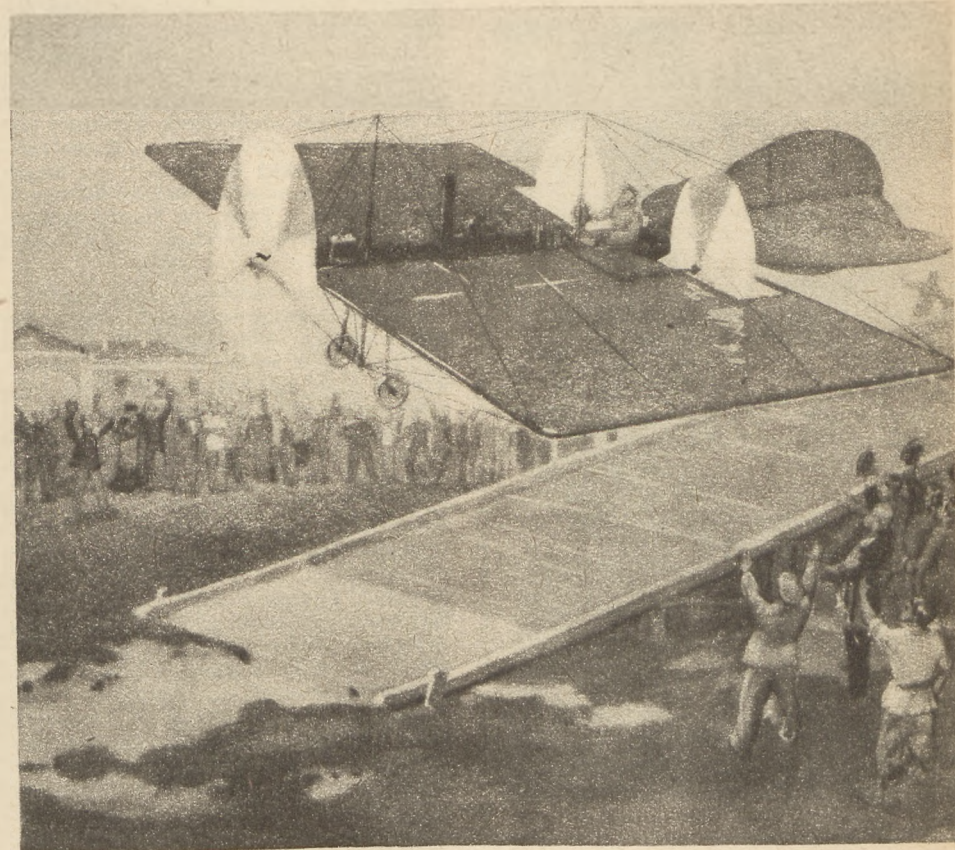
Wynalazca sam chciał zająć miejsce

przy sterach, komisja jednak stanowczo nie zgodziła się na to — Możajski miał już wówczas blisko sześćdziesiąt lat. W kabinie zasiadł mechanik Gołubiew, najbliższy jego współpracownik. Powoli przesunął rączkę regulatora na pełne obroty. Śmigła zawarczały, pławiec ru-



Samolot Aleksandra Możajskiego z 1882 r. według oryginalnego rysunku konstruktora: 1) skrzydła, 2) kadłub, 3) ster, 4) śmigło ciągnące, 5) śmigło pchające, 6) podwozie, 7) ściągacze, 8) dźwignia do sterowania, 9) linki sterownicze.

szyl z miejsca najpierw leniwie, po chwili nabrał już pędu na wyłożonej deskami drodze startowej, w pewnym momencie lekko oderwał się od ziemi i poszybował w powietrzu. Mechanik Gołubiew prowadził samolot pewnie i spo-



W kabinie zasiadł mechanik Gołubiew, najbliższy jego współpracownik...

kojnie. Doleciawszy do końca pola wylądował gładko na świeżo skoszonej trawie.

Za samolotem długo biegł z radośnie wzniesionymi rękami tegi, starszy człowiek w granatowym mundurze marynarki. Był to konstruktor pierwszej na świecie maszyny, która wzniosła się w powietrze — Aleksander Możajski. Działo się to 20 lipca 1882 roku — z górą 21 lat przed szeroko rozreklamowanymi próbami braci Wright w Ameryce.

Jak narodził się genialny pomysł tego konstruktora rosyjskiego z drugiej połowy XIX wieku?

Poruszanie skrzydłami, a więc niewolnicze naśladowanie lotu ptaków wydawało się dawniej najlepszym rozwiązaniem przy budowie maszyn latających, cięższych od powietrza. Tak sądził Leonardo da Vinci i prawie wszyscy jego następcy aż do początku XX wieku. Okazało się jednak, że pozornie proste ruchy skrzydeł są w rzeczywistości bardzo skomplikowane, toteż naśladowanie ich przez człowieka było niezmiernie trudne, a nawet niebezpieczne. Obecnie zostało to już bezspornie potwierdzone przy pomocy zdjęć kinematograficznych. Możajski już 75 lat temu zrozumiał tę podstawową dziś zasadę, że można naśladować ptaki tylko szybujące z nieruchomo rozpostartymi skrzydłami.

Stary marynarz wiedziony trafą intuicją konstruktora wprowadził do swej maszyny wszystkie zasadnicze elementy stosowane do dziś w samolotach współczesnych: silnik, nieruchome płaty nośne, kadłub, ster wysokościowy oraz kierunkowy, podwozie z kołami — a nawet takie przyrządy pilota, jak szybkościomierz i wysokościomierz.

Pracował nad konstrukcją samolotową zupełnie sam; w realizacji jego planów pomagała mu tylko mała grupka niewykształconych pracowników fizycznych, tak że po śmierci wielkiego konstruktora nikt nie potrafił kontynuować jego dzieła. Stała się rzecz jeszcze gorsza: usunięto do starej szopy, a potem pocięto na szmelc zarówno historyczny samolot, jak i drugi, ulepszony, którego Możajski nie zdążył jeszcze wypróbować. Głupota carskich „czynowników” zniszczyła wieloletni dorobek konstruktora.

Dopiero po Wielkiej Rewolucji Październikowej wśród tysięcy dokumentów odnaleziono w archiwach niezbite dowody pierwszego, historycznego lotu maszyny cięższej od powietrza: protokoły komisji, opisy lotów przez naocznych świadków i — co najważniejsze — dokładne wyliczenia i plany robione własnoręcznie przez Możajskiego.

Dziś flota powietrzna ZSRR stanowi niezwykłą siłę. W długim szeregu teoretyków i konstruktorów takich jak: Żukowski, Ciołkowski, Czapygin, Tupolew, Iljuszyn — na pierwszym miejscu widzimy nazwisko człowieka, który położył podwaliny pod ich pracę — Aleksandra Możajskiego.

Karol ADWENTOWICZ

wielki romantyk teatru polskiego

Napisał S. W. BALICKI

AKTORKA nigdy się nie starzeje, tylko czasem umiera. Aktor natomiast wyborniejszą potrafi urządzić sztukę, bo młodsze. Gdyby ktoś chciał się ściśle dowiedzieć, ile lat ma Solski, musiałby go przeciąć piłą i policzyć słoje, jak w dębie, a przecie jest to dzisiaj najmłodszy aktor w Lechistanie. A mój przyjaciel Adwent zaczyna być takim samym...

Tak pisał jeszcze pięć lat temu Kornel Makuszyński, gdy Karol Adwentowicz w Festiwalu Szekspirowskim grał rolę maga Prospera. Potem przyszły lata orki na stanowisku dyrektora Teatru Powszechnego w Łodzi, nagrodzona na Festiwalu Sztuk Radzieckich wzruszająca kreacja kapitana „Aurory”, Borseniewa, w „Przełomie” Ławreniewa oraz jubileuszowa, głęboko ujęta rola profesora Sonnenbrucha w „Niemcach” Kruczkowskiego.

Zaledwie przezwyciężył jakieś chorobę, co się do niego przyplątały, już wszedł w próby „Zemsty”, by jako Rejent, partner Cześnika - Leszczyńskiego, współdziałać z inscenizatorem Bohdanem Korzeniewskim przy poszukiwaniach najwłaściwszego realistycznego stylu Fredrowskiego.

Wprawdzie przedstawienie to na razie odwlekło się, bo inscenizator ma inne, pilniejsze zadania, ale możemy być przekonani, że w roku bieżącym, w swoje osiemdziesiąte, obdarzy nas Adwentowicz jakimś innym nowym osiągnięciem. I będzie ono na pewno pełne młodzieńczej pasji, dojrzałego artysty, głębokiej wiedzy o człowieku, takie bowiem są od wielu lat wszystkie role tego bezkompromisowego artysty, wielkiego romantyka polskiego teatru.



Karol Adwentowicz (kapitan „Aurory”, Borseniew) i I. Grywińska (Tatiana) w „Przełomie” Ławreniewa.

Słusznie przed kilku laty mówił Leon Kruczkowski, że romantyka życia i twórczości scenicznej Adwentowicza była w państwie kapitalistycznym swoistym protestem społecznym; dzisiaj zaś może i powinna się stać „gorącym, szlachetnym tonem pasji wewnętrznej, nieodzownej w sztuce realistycznej”. I dlatego warto do niej nawiązywać.

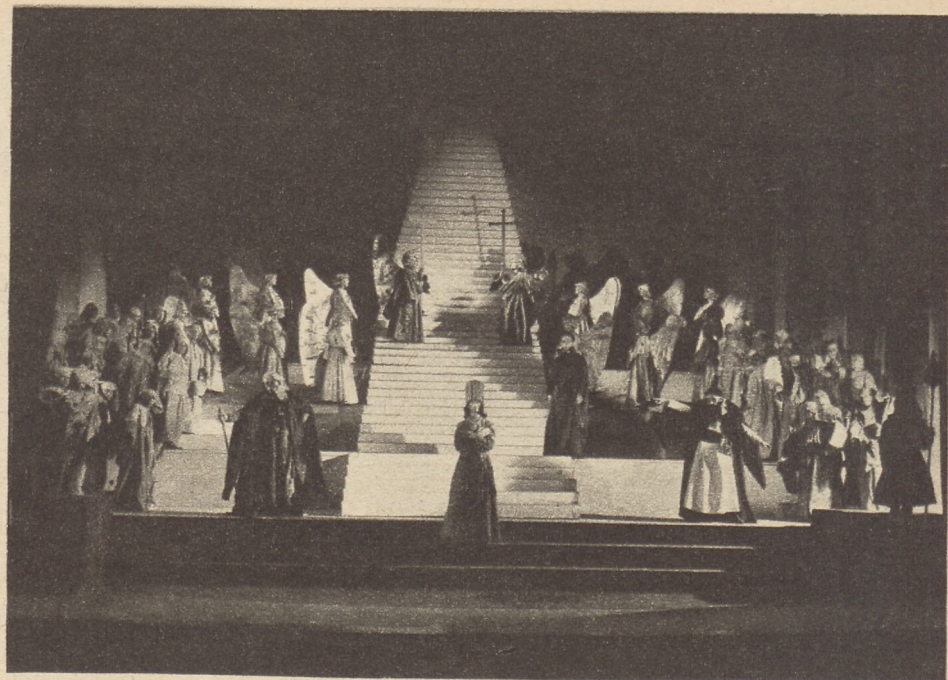
Adwentowicz urodził się 20 października 1872 r. w Ziemi Radomskiej, we wsi Wielogóra, gdzie ojciec był zarządcą majątku. Atmosfera domu rodzinnego — jak wspominał nieraz artysta — była patriotyczna, żyły w niej jeszcze tradycje powstania styczniowego. „Nastrajało to potem oczywiście młodego chłopca w mundurku ucznia gimnazjalnego opozycyjnie w stosunku do systemu apuchtinowskiego, a skończyło się katastrofą po rewizji na stacji w Radomiu i znalezieniu w moim kuferku paru tomów Mickiewicza i Słowackiego. Wydałono mnie — notuje dalej Adwentowicz w zwięzłym życiorysie — z drugiej klasy gimnazjum radomskiego z tak zwanym milczym biletem, który mi zakazywał wstęp do wszystkich rządowych zakładów szkolnych”.

Patriotyzm jego lat dziecięcych i młodzieńczych miał jednak zdecydowane oblicze społeczne. Adwentowicz stanął po stronie klas uciskanych, po stronie człowieka krzywdzonego. I to przesądziło o jego wolnym życiu aktora - waga bunt, tłukącego się po „zakazanych dziurach”, o jego aktorstwie pojętym jako nieustanna służba społeczna, o jego wreszcie działalności bezpośrednio społecznej.

Adwentowicz po latach studiów prywatnych, próbach kariery urzędnika kolejowego (jak Reymont), w lutym 1894 r. debiutuje w Radomiu rolą Edwina w „Odludkach i poecie” Fredry i odtąd gra ponad 400 ról, najchętniej wracając do szczególnie ulubionych. Pierwsze notatki prasowe mówiły, że z Adwentowicza dobry „lekki kochanek”; po latach pracy w poznańskim teatrze Edmunda Rygiera oraz u Tadeusza Pawlikowskiego we Lwowie — wyrósł na czołowego tragika.

„Pod kierownictwem artystycznym Tadeusza Pawlikowskiego — wspomina Adwentowicz — dojrzałem w pełni do przyjęcia tych wielkich wskazań i objawień w dziedzinie sztuki aktorskiej, którymi niezwykła kultura artystyczna i umysłowa Tadeusza Pawlikowskiego tak wspaniale i wydatnie rozwijała zasięg spojrzenia na sztukę i rolę. A jeśli dodam, że mogłem jako młody aktor mieć przed oczami takich potentatów sztuki aktorskiej, jak Bolesław Leszczyński, Solski, Kamiński, Chmieliński, Roman, Rapacki, Feldman, Fiszer, a z kobiet: Slemaszkowa, Solska i niedościgniona w swojej postawie artystycznej Gostyńska — to już sama możliwość współpracy z nimi dawała mi podstawę do żywienia nadziei, że może i ja będę miał prawo do życia na scenie. Toteż po paru latach wytężonej i kontrolowanej pracy zdobywam coraz mocniejszą pozycję w teatrze...”

Dopracowywał się też Adwentowicz coraz mocniejszej postawy ideologiczno-społecznej. Swoje uczucia i zapatrywa-



„Samuel Zborowski” J. Słowackiego w inscenizacji Leona Schillera z Karolem Adwentowiczem w roli Lucyfera.

nia wszczepiał w ludzi teatru, w gromadę młodych, którym przewodził. Nie tylko brał udział we wszystkich socjalistycznych demonstracjach politycznych, nie tylko agitował, ale zorganizował w r. 1903 pierwszą, zdaje się, w Polsce amatorską Scenę Robotniczą, na której wystawił „Nadzieję” Heijermansa, „Tkaczy” Hauptmanna, „Podpory społeczeństwa” Ibsena.

W r. 1929 — po latach wybitnej działalności w Krakowie i w Warszawie, występach za granicą, ale przede wszystkim włączając się do aktorskiej po całym kraju — Adwentowicz obejmuje w Łodzi Teatr Miejski, angażując na głównego reżysera Leona Schillera i obaj realizują robotniczy, bojowy teatr. Reakcja oczywiście zniszczyła tę polityczną scenę, ale nie ugięła niepodległego artysty. Nie zламаło go w latach wojny i więzienia hitlerowskie na Pawiaku, gdzie znalazł się za działalność konspiracyjną.

Przed kilku tygodniami na łamach dwutygodnika „Teatr” Adwentowicz rozważając, jakie możliwości społeczne i kulturalne daje ludowi nowy ustrój, nowa Konstytucja, spójrzal dla porównania w przeszłość i takie zwierzenie zanotował: „Szmata życia leży poza mną, ale gdy przypomnę sobie moje lata młodzieńcze na praktyce gospodarskiej, malują mi się żywo stosunki dworu do chłopów i służby folwarcznej — tak żywo, że zalewa mnie rumieniec wstydu”.

Adwentowicz żył w trudnej epoce. Ale jego społeczne aktorstwo wyrażało

tę epokę poprzez ostro realistyczne obrazy, by równocześnie buntować się romantycznym protestem, ukazaniem prawdy cierpienia ludzkiego. W ludziach, powoływanych do życia scenicznego przez Adwentowicza, nie było słabości. Jego wielka długoletnia rola — Hamlet (fot. przy tytule), daleka była — jak to określił Boy - Żeleński — „od limfatycznej i „refleksyjnej” koncepcji Hamleta”. W pierwszym okresie grania tej roli „był skupiony w sobie a zarazem młody. Obok czystego, synowskiego serca posiadał również pełne poczucie sprawiedliwości, które nakładało na niego społeczny obowiązek karania za łotrowskie intrygi i zbrodnie” (rec. R. Ordyński). Po kilku latach „nie miał może tego na wpół chłopięcego puszku... ale ogniem swej gry, inteligencją dał zapomnieć o tym i podbił prawie zupełnie”; był to Hamlet zółciowy; pod maską

gorzkiej i kłującej ironii drgał skupiona, ledwie hamowaną namiętnością...” (rec. Boy - Żeleński).

Był Adwentowicz Kordianem i Wysokim w „Nocy Listopadowej”, Wojewodą w „Mazepie”, Romeem w dramacie Szekspira i Brutusem w jego „Juliuszu Cezarze”, Guciem w „Ślubach pańskich” (w Wiedniu w r. 1914) i Cześnikiem w „Zemście” (Katowice, r. 1945). Grał we współczesnym jego młodości — młodopolskim repertuarze; przyswoił scenie polskiej Strindberga i Ibsena.

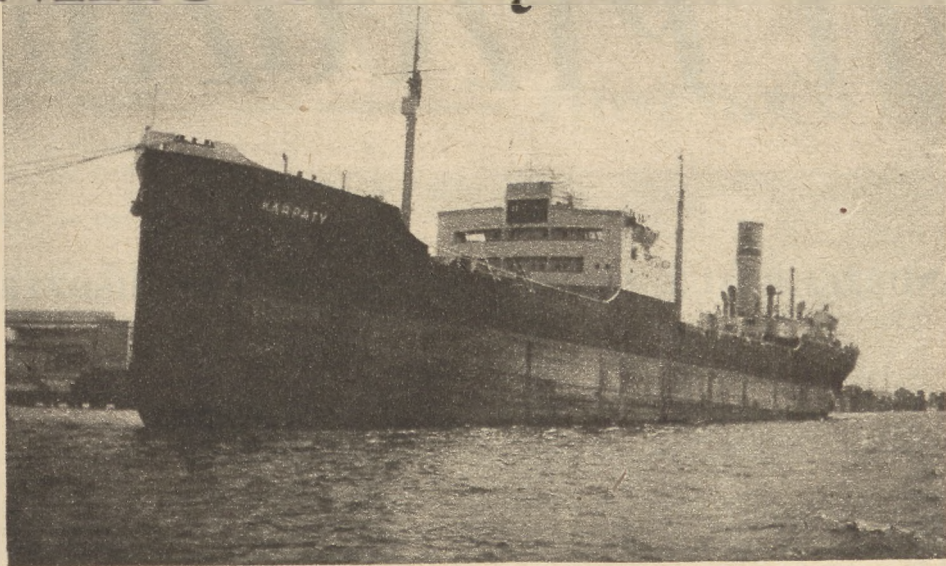
Przez długie lata jego Peer Gynt uchodził za największe osiągnięcie artysty. Leon Schiller w r. 1934 ogłosił „two-rem najwyższej sztuki aktorskiej” kreację Adwentowicza w roli Lucyfera w dramacie Słowackiego „Samuel Zborowski”. W tej kreacji, zdaniem Schillera, skupił artysta wszystko co było tęsknotą, męką i wiarą przez długie lata stwarzanych przez niego bohaterów — całą walkę człowieka o prawo do wolności.

I nie to jest ważne, którą rolę Adwentowicza uznamy w tej chwili za najdoskonalszą. Ważne jest to, że w całej jego twórczości scenicznej, jakkolwiek by ją krytyka oceniała i wartościowała, nie ma ani jednego tonu udanego, fałszywego, tonu, który by nie był prawdą Adwentowicza. Człowieka, walczącego w życiu i w sztuce — o człowieka. O jego wolność i sprawiedliwe, społeczne szczęście.



K. Adwentowicz jako Prospero w „Burzy” Szekspira. Fot. Brzozowski i Malarski

Statek „Karpaty“ we współzawodnictwie załóg handlowych zajął pierwsze miejsce, otrzymując przechodni proporzec zwycięstwa. Wyróżnienie to jest tym cenniejsze, że początkowo statek nie był dostatecznie wyposażony i załoga wiele musiała włożyć wysiłku, aby samoremontami doprowadzić go do obecnego stanu. O dzielnej tej załodze kilku interesujących szczegółów dowiadujemy się z fragmentów dziennika jednego z członków załogi m/t „Karpaty“.



Statek „Karpaty“ — zwycięzca we współzawodnictwie załóg statków handlowych.

WYCHODZĄC na Morze Śródziemne zdawaliśmy sobie sprawę z odpowiedzialności, jaka na nas ciążyła w tej podróży. Maszyny ulegały niekiedy awarii, lecz teraz nie mogły zawieść. Zmieniały się wachty, rosły mile, wszyscy wsłuchiwali się w nieprzerwane sapanie motorów. Czy statek wytrzyma — przecież dotychczas nikt nie miał do „Karpaty“ zaufania? Ale szła miła za miłą, czas upływał, bez przeszkód posuwaliśmy się naprzód.

* * *

Mała, rozpalona dziura. Upał. Motorzyści i mechanicy nadzy i czarni od smarów jak diabeł z chrztu równikowego, wylatują co chwila z wywieszonym językiem na pokład zaczerpnąć trochę powietrza. Robota pali się w rękach. Pokład maluje burty, przyjmuje ładunek. Wieczorem wysypujemy się do miasta. Spacer, kino, zakupy, lampka wina. Najznośniej jest tu wieczorem, kiedy razem ze słońcem ucieka afrykański upał, kiedy robi się chłodno i przyjemnie.

Po ulicach miasta szwendają się Hansy i Fryce o twarzach esesmanów, a w mundurach francuskiej Legii Cudzoziemskiej. Właśnie w przeddzień wyjazdu do Wietnamu (imperialiści wolą mordować cudzymi rękami) wieczorem cała Legia jest pijana. Jeden z pijanych legionistów przyrzeka się w poczekalni kina do III oficera, Góreckiego.

— Sprechen Sie deutsch?

— Ja...

To znasz moją ojczyznę?

— Tak, pięć lat byłem w Buchenwaldzie...

Legionista natychmiast oprzytomniał, szepce:

— Ich bin unschuldig (ja jestem niewinny) — i szybko się wycofuje.

Potem w kinie znów się przyrzeka (nie znał naszej narodowości), staje przed krzesłami i po pijanemu bełkoce: — Jadę strzelać do komunistów!

Oczy siedzących obok Francuzów kierują się na nas. Górecki rozszłoszczony odpowiada: — My jesteśmy komunistami, strzelaj! Po co masz jechać...

Niemiec osłupiał: — Wszyscy?

— Tak, wszyscy!

Patrzy na niego pięć par polskich oczu. Hitlerowiec ma nie więcej nad 22 lata i nie wygląda groźnie. Nie wytrzymuje naszego badawczego spojrzenia, cofa się i krzyczy histerycznie na całą salę: — Ich bin ein grosser Gangster, ich bin ein Lump, ich bin kein Mensch! (Jestem wielkim gangsterem, łachmanem, nie jestem człowiekiem). Dał nam spokój.

Na takie drogi schodzi młodzież w krajach imperialistycznych. Jego rodacy z Niemieckiej Republiki Demokratycznej uczą się, budują — ten został francuskim mięsem armatnim, płatnym mordercą kobiet i dzieci wietnamskich. Dostaje wódkę, aby zapomnieć. Gdy upije się do nieprzytomności, dwóch murzyńskich policjantów weźmie go za ręce i za nogi, rozhuśta, rzuci na samochód ciężarowy

i podwiezie na statek, który popłynie z nim na pola mordu.

* * *

Zaczęło się. Radiostacja odbierała komunikaty, oznaczając położenie tajfunu, który szedł w naszą stronę. Wiatr szalał z szybkością 150 mil na godzinę, a stan morza określały komunikaty jako „fenomenalny“.

Najważniejszym zagadnieniem stało się to, czy umkniemy przed tajfunem, czy złapie on nas na pełnym morzu. Z godziny na godzinę rosła siła wiatru, zwiększała się fala, a że wiatr mieliśmy od przodu, zmniejszało to naszą szybkość o 2 — 3 mile.

Statek załadowany, głęboko siedzący w wodzie, zaczyna ryć w fale, brnąć na siebie, wyskakuje wysoko dziobem, kładzie się na boki, ale jakoś idzie. Czasami zupełnie nie widać pokładu, a przejście z dzioba na rufę jest prawie niepodobieństwem, trudno utrzymać się na nogach. Ale to jeszcze nie tajfun, to tylko sztorm.

Zwiększyliśmy szybkość maszyny, wszystko aż dygotało od jej wysiłku. Oderwali się ostatecznie od idącego krok w krok za nami tajfunu.

Nad nami pojawiły się natomiast liczne samoloty amerykańskie.

Wyskakują nagle z rykiem silnika gdzieś znad wody za rufą, przelatują nisko nad masztami. Badają nasz kurs. W nocy leci na nasz statek snop światła z ich reflektorów.

* * *

I znowu jesteśmy na oceanie Indyjskim. Tym razem wspinała, słoneczna pogoda pozwala „Karpatom“ rozwijać maksymalną szybkość. Idziemy cicho i spokojnie, kołyszani głębokim oddechem morza — łagodną, martwą falą...

EDMUND MIKINA
członek załogi m/t „Karpaty“



Podoficer Zdzisław Hackel omawia najbliższe zadania z członkami załogi statku.



TADEUSZ BOROWSKI: — „MAŁA KRONIKA WIELKICH SPRAW“ — „NA PRZEDPOLU“
Wydawnictwo MON. Warszawa, 1952

OTRZYMALIŚMY dwie książki publicystyczne Tadeusza Borowskiego, znanego pisarza młodego pokolenia, którego tak znakomicie zaczęta i tyle rokującą nadziei twórczość przecięła przed rukiem przedwczesna śmierć. Obie książki przygotował do druku jeszcze sam autor. „Mała kronika wielkich spraw“ objęła 43 felietony ogłaszane od kwietnia 1950 do maja 1951 w tygodniku „Nowa Kultura“. Druga pozycja „Na przedpolu“ zawiera siedem pisanych w tym samym okresie większych artykułów i reportaży. Książki opatrzył przedmową W. Woroszyński. W ten sposób z płodnego i obejmującego szeroki zasięg dorobku publicystycznego Borowskiego, wyodrębniona została zasadnicza część, która wiązała się, jak sam autor zaznaczał, wspólną tematyką spraw pokoju, socjalizmu i kultury.

W jednej z „Małych kronik“ znajdujemy taką wypowiedź: „Przyszłe pokolenia mniej nas będą pytały o tę czy tamtą książkę, a bardziej o to, cośmy zrobili dla pokoju. Walka o pokój jest dziś miernikiem humanizmu“. Te zdania o bardzo znamiennej wymowie tłumaczą niejako gwałtowny zwrot, jaki nastąpił w działalności młodego pisarza w kierunku gorączkowej pracy publicystycznej. Nie była to bynajmniej dezercja przed zadaniami powieściopisarza, jak w swoim czasie uważali niektórzy, stawiając autorowi zarzuty, ale właśnie chęć sprostania podstawowym obowiązkom literata wobec naszej epoki jeszcze jednym środkiem działania. Publicystyka stanowiła dla Borowskiego dogodne narzędzie operowania „na przedpolu“, jak to sam określił tytułem jednej z książek. W tej pracy zresztą, co zrozumiałe, rósł sarni jako człowiek i pisarz. Wychodząc bowiem naprzeciw najróżnorodniejszym sprawom, które przynosił dzień bieżący, musiał pogłębiać wiedzę o życiu, krystalizować założenia światopoglądowe i precyzować formy wypowiedzi. Jego publicystyka była bardzo silnie związana z rzeczywistością, często wynikała z bezpośrednich doświadczeń terenowych. Toteż jednocześnie jako rezultaty tej swoistej szkoły wzrostu pisarza, powstawały notatki i szkice planowanych prac ściśle literackich — niestety już niezrealizowanych. Część jednak dorobku będzie ogłoszona i wtedy niewątpliwie dopełni się obraz ambitnych zamierzeń, a także osiągnięć pisarza.

Czytając dzisiaj wybrane felietony, artykuły i reportaże Borowskiego, dostrzegamy, że te ich cechy, które wiązały się z pośpiechem, a nawet gorączkowością pracy publicysty, a więc w pewnym sensie ograniczały możliwości osiągnięcia bezbłędnego kształtu, stanowią równocześnie ich bezsprzeczną zaletę. Utrwaliły bowiem to, co było najcenniejszym walorem działalności pisarskiej autora „Pożegnania z Marią“, mianowicie żarliwość i pasję. Widać to w atakowaniu tematów, zawsze pierwszoplanowych i nieostyglych, w sposobie podejścia i rozwijania zagadnień, które nasuwała rzeczywistość. Przez wszystkie szkice przewijają się jako motywy wiążące — sprawy pokoju, socjalizmu i kultury, będące istotnym sprawdzianem głęboko humanistycznej postawy pisarza. Wiele też miejsca zajmuje sprawa niemiecka, podbudowana osobistymi doświadczeniami autora z pobytu w NRD. Żarliwość i pasja ukształtowały także styl Borowskiego: jest on żywy, giętki, dobitny, pełen plastyki i prostoty, operujący umiejętnie relacją zdarzeń, cytatai, materiałem erudycyjnym lub wprost bezpośrednio hasłem. To sprawia, że Borowski, idący śladami Prusa i Erenburga, posiadał własny indywidualny wyraz, który nadaje zasadniczej części jego publicystyki nieprzede wszystkim znaczenie. Obie książki, mimo próby czasu, szczególnie przeciwieństwem w odniesieniu do utworów wyrastających z aktualności, zachowują nienadwątloną siłę oddziaływania. Są nadal nie tylko interesujące, ale i żywe. Służą nieprzerwanie tej samej walce, która je zrodziła.

(hm)

Wodewil Przedzłotowy

Teksty: ANDRZEJ BRAUN, TADEUSZ KUBIAK, ARTUR MIEDZYRZECKI

Muzyka: WLADYSŁAW SZPILMAN

Ilustracje: CHARLIE

Było ich trzech. Młody przodownik pracy z gdańskiej stoczni — Wiktor Korbał; dzielny, choć lekkomyślny Grzegorz Wieczorek (elektrotechnik) i Janek Smuga, górnik-repatriant z Francji, bardzo miły i wesoły. Poznali trzy Ireny. Ale myśleli, że jest to jedna Irena, bo pozostali znali tylko z opowiadań przyjaciół. Cała sprawa wyjaśni się na Złocie Młodych Przodowników, w dniu 20 lipca. Tego samego dnia Polskie Radio nada wodewil „2 + 3 = 6”, który przedstawi dalsze dzieje trzech przyjaciół i trzech Iren. Oto fragment wodewilu:

AKT III.

Scena I.

(Muzyka)

(Janek — Ojciec)

JANEK: Nasza kopalnia, ojczu, nosi imię Thoreza. Ile by dali nasi przyjaciele z Nordu za to, żeby ich stary górniczy szyb nosił takie imię: „Kopalnia imienia Thoreza”.

OJCIEC: Nic nie robi się samo, synu. Przychodzą stamtąd wieści. Były strajki. Ludzie mówili zawsze: nie chcemy polityki. Po co to nam? A później było bezrobocie. Złe było. Ludzie zrozumieli. Bezrobocie to też polityka.

Wolność. Wolność to było dziwne słowo, synu. To było dziwne słowo w górniczej biedzie, w chłopskiej nędzy. W 28 roku wysłano nas wagonami do Francji — jak bydło. Tam nas kupowali — też jak bydło. Do fabryk, do kopalń — za połowę piący. Czasem jeszcze mniej dawali. Czasem trochę więcej.

Po wojnie mogliśmy wrócić. No, o tym wszystkim wiesz, nie będę opowiadać. Ot, przyszło na myśl, bo tam teraz znowu to samo: bezrobocie, górnicza bieda, policja.

JANEK: A nasza kopalnia, ojczu, nosi imię Thoreza. Nie wiem czy pojedę na Złot. Ale chcę, żeby oni wiedzieli, tam w Courrieres, w Auchel, w Oignies — że polska kopalnia imienia Maurice Thoreza przekroczyła plan.

I żeby to było wydrukowane w „Humanite”. I żeby to przeczytał Duclos, i Stil, i Henri Martin.

A tę wieść, ojczu, z której wyjeżdżałeś do Francji, elektryfikuje mój przyjaciel, Grzegorz. To ten, który specjalnie przyjechał na ostatni mecz. Ten sam. Wesoły chłopak. Un bon copain. Może i on będzie delegatem na Złot? Spotkalibyśmy się w Warszawie, opowiedziałby o naszej starej wsi... Chyba dużo się tam zmieniło.

Scena II.

(Grześ, Stefan)

GRZEŚ: (gwiżdże)

STEFAN: Grzegorz, Grzegorz.

GRZEŚ (z wysoka): A co tam?

STEFAN: Złazże, ważna wiadomość.

GRZEŚ: Nie widzisz, u licha, że jeszcze nie podwiązałem tego kabla. Nie przeszkadzaj. (gwiżdże).

STEFAN: Zejdź ze słupa na chwilę. Musimy się naradzić.

GRZEŚ: (gwiżdże).

STEFAN: Czy wiesz, że tym wronom w Górkach Wielkich zostało jeszcze tylko pięć chałup do podłączenia.

GRZEŚ: No to co? Pali się? (gwiżdże) (po chwili): Ile, mówisz, zostało tym sikorkom?

STEFAN: Pięć chałup.

GRZEŚ (gwiżdże ze zdumieniem) — (po chwili): Czekaj, schodzę. Musimy się naradzić.

STEFAN: Mówiłem ci od razu. Coś trzeba obmyślić. (chwilę pauzy, przerywana zgrzytem posuwających się po słupie metalowych uchwytów).

GRZEŚ: Elektromonter w spódnicy, widzisz go, jaki chwacki.

STEFAN: Wstyd będzie oczy pokazać.

GRZEŚ: Takie jak twoje to wstyd już dawno nosić po świecie. O, przyjemna trawka.

STEFAN: Nawet za przyjemna jak na naszą robotę. Wzięły nas te wrony.

GRZEŚ: Nie denerwuj człowieka zdenerwowanego. Mam pomysł. Rozkocham tę spódniczkę, w siebie. Zawrócę jej w zielonej główce. Zapomni o robocie.

STEFAN: Idź, głupi.

GRZEŚ: Nie dasz nawet pożartować. Trzeba coś wymyślić.

STEFAN: A mnie się wydaje...

GRZEŚ: I mnie też — tu nie ma co obmyślać — tu trzeba...

PIOSENKA PRZEDZŁOTOWA

Byłeś przy robocie bumelant i leń,
Grzałeś się na słońku cały boży dzień.
Czy to sprawił Złot?
I przed Złotem, i po Złocie,
pragniesz pierwszym być w robocie,
mocniej ściskaj młot.

Bo w pracy, w ruchu, słońce wyłata,
a leżących przypieka jak rak —
Bo praca, praca,
zdobi człowieka —
a tak, a tak, a tak.

Dojrzewają łany spółdzielnianych zbóż.
W zbożu dużo maków, ale z maków cóż?
Dużo maków i modraków,
no i w plonie dużo braków
No a Złot, a Złot?
Czy przed Złotem, czy po Złocie,
trzeba pierwszym być w robocie,
Cóż, że ścieka pot?

Bo chleba nam nie dają kąkole
a i maki na polu nie w smak —
Bo ziarno, ziarno
zbierasz w stodole —
a tak, a tak, a tak.

Scena III.

(Grześ, Stefan, Babka)

BABKA: Szczęść Boże, chłopackowie. Zmęczyliście się...

GRZEŚ: Nie zanadto.

STEFAN: Więc jak myślisz, Grzegorz?

BABKA: Tyli świata obeszłam, tyli dróg.

GRZEŚ: Toście się babciu zmęczyli.

BABKA: Ale com się napatrzyła — to moje. Com się nasłuchiwała to też moje.

STEFAN: Więc jak myślisz?

BABKA: Świat uczy lepiej niż te wasze książki.

GRZEŚ: Ech, idźcie, babciu, w swoją drogę.

BABKA: Pójdę, pójdę milusi. Ale i mnie trzeba trochę wypocząć. A co wam powiem — to to, że z tych waszych słupów i drutów i żarówek, czy jak im tam — nic dobrego nie wyjdzie.

Były świeczki, albo lampki naftowe — to niechby już tak i były aż do sądu ostatecznego. A tak to co? Jedni drugim na złość.



GRZEŚ: Co też, babciu, pleciecie.

BABKA: Prawdę mówię. Przeszłam świat. Wiem co na nim mówią. W tej wsi nad rzeką dziewczucha w port-

kach skacze po tych słupach. Czy to nie grzech? Ale dobrzy ludzie powiedzieli, że kiedyś nocą wykopują te słupy, albo nawet i zetną. Co to dla nich? Tną w lesie tegie dęby — to takich słupów nie zetną? Od czego siekiery.

GRZEŚ: Co? Co mówicie babciu? Kiedy tak mówili nad rzeką?

BABKA: A wczoraj, moi milusi, wczoraj.

GRZEŚ: A kto tak mówił?

BABKA: A kilku takich. Dobrzy ludzie. Nawet prześpać się u nich można w oborze. Do stodoły nie puszczą. Ale ja nie zwyczajna na czystej słomie sypiać.

GRZEŚ: Słyszysz Stefan? Powiedźcie nam babciu, który to z tych ludzi tak mówił?

BABKA: Najbardziej to ten, który młyn miał. Znad samej rzeki.

GRZEŚ: Czy tej dziewczynie od monterów mówiliście o tym?

BABKA: W imię Ojca i Syna. Nie podeszłabym do niej. Ona w portkach jak jaki bandos. Widział kto takie rzeczy.

GRZEŚ: Stefan... Pędzimy...

BABKA: Dokąd to synkowie, dokąd? Ech, ci młodzi. Jakby ich ukropem polał.

STEFAN: Ależ biedne wrony by się zapłakały.

GRZEŚ (śpiewa):

Twoi dobrzy ludzie, babciu,
mają serca złe.
Albo wcale ich nie mają.
Trudno — nie, to nie.
Ale nasze nam wystarczą,
nawet dla was też.
Pożyj, babciu, jeszcze trochę.
ujrzyć inną wieś.

Scena IV.

(przejście muzyczne)

(Wiktor i Staś)

WIKTOR: Gotowe. Wiwat stocznia! Dawaj łapę, niech cię uścisknę.

STAŚ: No, Wiktor, ostatni szablon. Przyznam ci się, że tak w głębi duszy to nieraz wątpiłem, czy uda nam się wszystko na czas. A kiedy traserzy wykryli te niedokładności przy podkładnikach, to słowo daję, płakać mi się chciało.

WIKTOR: No, no. Nie wyobrażam sobie ciebie z łezkami w oczach. Tak się tylko mówi: płakać mi się chciało. W rzeczywistości toś kłął i rozstawiał ich rodzinę po kątach.

STAŚ: Kłamię i płakałem. Słowo honoru. No to co? To nie były żarty. Liczysz, że wszystko gotowe, obliczam czas według tego co jest już zrobione i raptem okazuje się, że niezależnie od ciebie, niezależnie od tego, żebyś nawet żyły wypruwał z siebie. to leżysz, bo inny wydział stracił tydzień czasu i musi wszystko robić od początku.

WIKTOR: A tak. Widzisz teraz. Sam nic nie zrobisz.

STAŚ: A jednak oni są solidni. Sami wykryli niedokładności i sami poświęcili się: zrobili szablonny drugi raz.

WIKTOR: No, bo wiedzieli: gdybyśmy przenieśli te błędy na blachy, straty byłyby dużo większe.

STAŚ: Tak, trudno być samemu bohaterem.

WIKTOR: Ale pomyśl, zrobiliśmy swoje. Dotrzymaliśmy słowa. A mówiłem, że my obaj na Złocie będziemy. Murowane.

STAŚ: No, jeszcze nas nie wybrano.

WIKTOR: Żartujesz. My pojedziemy, i z niterskiego, i z kadłubowni, i z wyposażenia, cała kompania.

STAŚ: Wiktor, wiesz, ja tak dawno nie byłem w Warszawie. Pomyśleć, że przez trzy dni będziemy tam razem z najlepszymi z całej Polski. Widziałeś jak się tam szykują, żeby nas przyjąć? Powiedz, jak wygląda ten MDM?

WIKTOR: No, gmachy wielopiętrowe, wszystko wyłożone białym kamieniem. Robimy... Ciekaw jestem, czy spotkam na Złocie moich dwu kolegów Grześka i Janka. No i, bracie, dałem słowo Irenie, że będę na Złocie. Pamiętasz ją?

STAŚ: To ta, co była u nas na Stoczni?

WIKTOR: Tak. Ale czekaj no Stasiu...

STAŚ: Co?

WIKTOR: Wiesz... tak sobie to uprzytomniłem... No dobrze. Ja pojedę i ty pojedziesz, to Bogiem a prawdą brygada przez ten czas nie jest brygadą. A teraz tak — z wręgowi też pojedą... no bo co? Oni to od macochy? I z kadłubowni też paru pojedzie.

STAS: No to co? Do czego zmierzasz?...

WIKTOR: Widzisz... tak mi jakoś głupio... Przecież my wyrabiamy w końcu po te dwieście procent... Wyjeżdżamy... To tak, jakby czterech nas z brygady nie przyszło do pracy przez kilka dni.

STAS: Dobrze ci tak mówić, bo wiesz, że cię wybiorą z naszej brygady. Jesteś zetempowiec, aktywista...

WIKTOR: Ot pleciesz i tyle...

STAS: Ale o co ci idzie? Myślisz, że ktoś z nas powinien zostać?

WIKTOR: Kto wie? Zresztą dzisiaj jest zebranie to się zobaczy. Chodźmy uczyć się, bo już fajrant. (dźwięki stoczni. Syrena obwieszcza koniec zmiany).

Scena V.
(W domu u Wiktora)
(Wiktor i Matka)



MATKA: Popatrz, wyprałam ci i świeżo wyprasowałam tę zieloną koszulę zetempowską. Tu masz skarpetki na zmianę. Ja nie wiem, chustki to ty ciągle gubisz. Przewróciłam cały dom do góry nogami i nie mogłam znaleźć żadnej całej chustki do nosa. Czy ty buty nimi czyścisz, czy co?

WIKTOR: Mamo...

MATKA: A pamiętaj, jak będzie gorąco, żebyś nie pił żadnej zimnej wody, ani lodów za dużo. Pamiętaj, lody trzeba jeść powoli... Zresztą jeszcze nie wyjeżdżasz, to ci dokładnie powiem. Otóż tylko to, co ci będzie potrzebne. Ale nie bierz za dużo rzeczy...

WIKTOR: Mamo, niepotrzebnie się mama trudi. Nie jadę na Złot.

MATKA: Jak to? Wiktorku, dziecko moje... jak to... nie wybrali cię?... Przecież jesteś przodownikiem...

WIKTOR: Pewnie by wybrali, ale sam zrezygnowałem.

MATKA: Co ty mówisz? Dlaczego? Nie należy ci się?

WIKTOR: Należy. Ale nie o to chodzi. Widzisz, z naszej brygady miałem jechać ja albo Stasię. On nie zna jeszcze Warszawy. Zresztą, ja powinienem tu zostać. Dla produkcji. Jakby to było? Do Złotu współzawodnictwo szło jak diabli, a przychodzi Złot i koniec, stocznia może stanąć.

MATKA: No tak. Ale synku, a panna Irenka? Tak się szykowałeś, żeby się z nią zobaczyć. Mój Boże...

WIKTOR: Przekażę jej pozdrowienia przez Stasia. A zresztą napiszę do niej. Ona to zrozumie. Zobaczymy się innym razem. Trudno.



(TRZY LISTY)

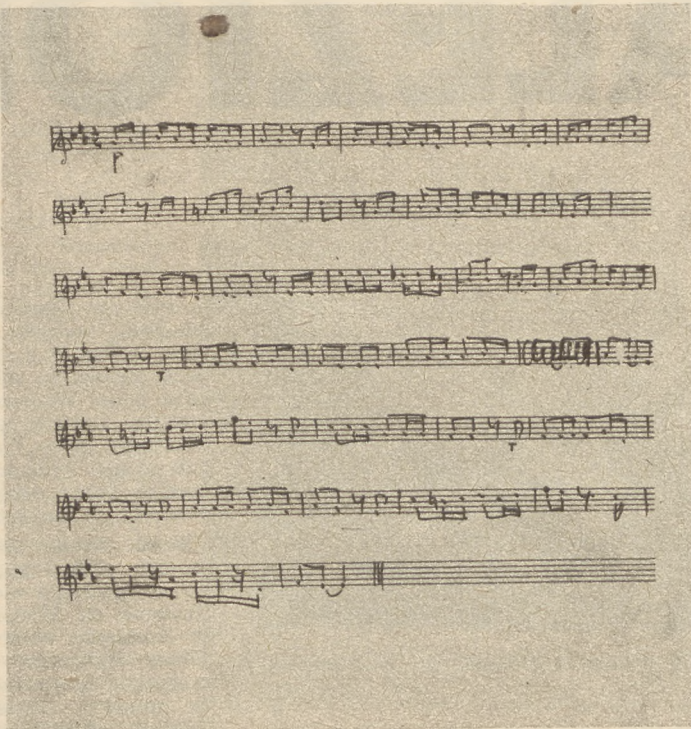
(Janek, Grześ, Wiktor — śpiewają)

Droga Ireno — najmilsza między — Irenami,
Co porabiasz — jak się czujesz — jak egzamin?
Droga Ireno — Ireno droga — ach Ireno —
Jesteś ptaszkiem — jesteś kwiatkiem — i syreną.
Ja tu pracuję — przekraczam normy — ja się trudzę —
Lecz to piszę — z wielką trwogą — że się łudzę.
Jedno mnie peszy — i w tym jest cały — rzeczy dramat:
Czy nie jesteś — czasem jedna — i ta sama.
Bardzo cię lubię — mile wspominać — i poważam,
Ale to mnie — bardzo peszy — i zatrważa.
Więc w niepewności — piszę, Ireno — i w tęsknocie,
Całą sprawę — wyjaśnimy — już na Złocie,
Przyjeżdżam. Janek — I ja, twój Grzegorz, na Złot
Ijadę —

A ja w stoczni pozostanę. Nie przyjadę.
Wiktor.

PIOSENKI DO WODEWILU

PIOSENKA O PRZYJAŹNI



Wiele rzeczy na świecie jest pięknych;
Piękny może być refren piosenki,
Pięknie, kiedy kwiat dajesz do ręki,
Bo uśmiecha się wtedy dziewczyna.

Wiele dobrych jest rzeczy na świecie
Dobre słońce, gdy latem nam świeci,
Dobry ogień w czas mroźnej zimy,
Lecz najlepsza z wszystkiego jest przyjaźń.

REFREN: Jej oddam więc serce i myśl
I wszystko, co w sercu i myślach,
Jak źródło oddaje się Wiśle,
Jak morzu oddaje się Wisła.

Bo ona to siła i trwanie,
Bo ona to pieśń, co nie mija,
Bo ona to wierność i pamięć.
Niech żyje, niech żyje nam — przyjaźń.

PIOSENKA MARIENSZTACKA

1. Czy cię spotkam w tym tłumie?

A więc — orzeł czy reszka?

Powiedziałas: O szóstej.

Pod zegarem. Mariensztat.

A w lipcu na Mariensztacie

Lampy lśnią pod gwiazdami.

Kogo chcecie spytać

Albo przyjdźcie tu sami;

Bo w lipcu na Mariensztacie

Młodość jest piękną rzeczą.

Kogo chcecie — spytać:

Tylko głupi zaprzeczają.

2. Zegar dzwoni i dzwoni

I wydzwania kwadransy.

Tańczą ludzie na rynku,

A ja jeden nie tańczę.

A w lipcu na Mariensztacie

Lampy lśnią pod gwiazdami.

Kogo chcecie spytać

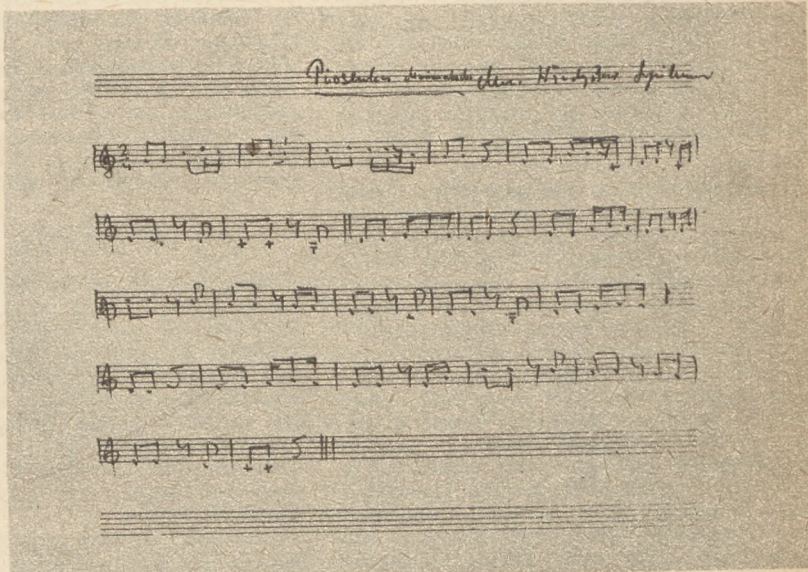
Albo przyjdźcie tu sami;

3. Zegar siódma już bije,

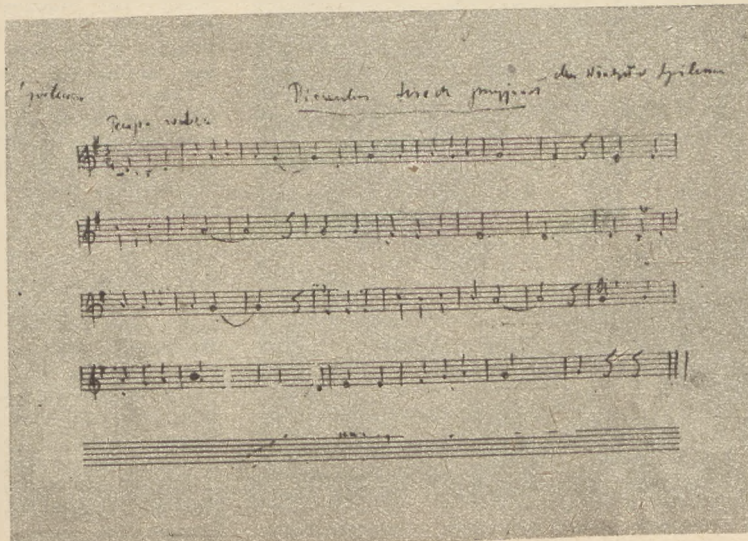
Zegar widać się spieszy.

Przyszłaś! Jesteś nareszcie.

Jakże tu się nie cieszyć!



PIOSENKA TRZECH PRZYJACIÓŁ



Trzej przyjaciele z boiska —
Napastnik, bramkarz i łącznik —
Żyć bez siebie nie mogą
Dziarscy i nierozłączni.

Niejeden mecz już wygrali,
Niejeden przegrać zdążyli;
Często się rozjeżdżali,
Lecz zawsze — znów się schodzili.

Trzej przyjaciele z boiska
Nie znoszą klótni i dąsów.
A gdy będą już starsi,
Będą mieć parę wąsów.

Gdy razem pójdą przez miasto,
Zawsze ich po tym poznacie:
Mają miejsce na wąsy
I każdy z nich — jest w krawacie.

GDAŃSK ODNALEZIONY

JULIA HARTWIG

JEST lipiec, rok 1938. Młoda, szesnastoletnia dziewczyna pakuje walizkę w Lublinie, wsiada do pociągu, po raz pierwszy w życiu odbywa w Tczewie rewizję celną, wysiada na dworcu gdańskim o neo-renesansowej fasadzie z niesymetrycznie umieszczoną wieżą, przez most kolejowy zapuszcza się w szeroką, odurzająco wonną aleję lipową, prowadzącą czterema rzędami drzew do Wrzeszcza. Ma tu spędzić miesiąc. Przyciągnęła ją do Gdańska ciekawość, przyciągnął egzotyzm miasta.

Odejście stąd z gorzką świadomością, że chodząc ulicami, gdzie co krok mają swoje siedziby hitlerowskie organizacje młodzieżowe, lepiej zdjąć czerwoną tarczę z numerem gimnazjum, ze szkolnego granatowego płaszcza, by nie dostać się niespodzianie w wir ulicznej bójki; zapamięta sobie niedzielną rozmowę w restauracji z jakąś rodziną, która dopiero na jej usilne prośby zacznie mówić po polsku, i to zniżonym głosem; wspomni kompleks niższości znajomych studentów Politechniki Gdańskiej, „apolitycznych“, wkuwaczy za wszelką cenę, byleby skończyć ten uprzywilejowany wydział budowy okrętów — z dyplomem, który umieści ich gdzieś na trudnym do zdobycia miejscu wśród pracującej inteligencji, i to nie w Polsce.

I zapamięta sobie jak sen, który wraca uporczywie, czasem po wielu latach, aż w końcu gotowiśmy mu przypisać jakieś niezwykle znaczenie — ciemny kolos kościoła Marii Panny z ponurym obrazem Memlinga, zapleśniały cień krętych uliczek, bogactwo złocen patrycjuszowskich domów, ostry zapach Motławy, ciężki dziób Żurawia, zwisający między dwógiem ciemnych skrzydeł muru nad kanałem, i dostatni zmierzch Frauengasse, przesycony zapachem kawy i starych drzew, gdzie spokojny rytm schodków u rzeźbionych przedproży odcina spokojnie, lecz bezapelacyjnie wnętrze bogatego mieszczańskiego domu od twardej, dla państwa, ulicy; tak pałace dożów w Wenecji piętrzą się niedostępne, oblane wokół wodami kanałów.



Tak wyglądał Gdańsk po wyzwoleniu

Od 1938 roku mija wiek cały. I dla tamtej dziewczyny i dla Gdańska. Gdańsk odcierpi jawną już okupację hitlerowską, z mordowaniem, wysiedlaniem i znieważaniem pozostałych jeszcze nielicznych Polaków. Przyjdzie wyzwolenie. Jak przychodzi zawsze kres wszelkiego bezprawia w historii. Ciężko zostanie opłacone: bombami roztrąca w bezkształtną masę cegły misternie ułożone przez mistrzów gotyckich i renesansowych, z sykiem pożre płomień stare gdańskie szafy i stoły, roztopi zabytkowe cyny i srebra. Wydaje się, że już nic nie podźwignie tej potwornej masy zwałonego kamienia i gruzu, że nic nie przeorze tej pustyni zgłiszcz...

PO CZTERNASTU LATACH

Marzyłam o tym, by tam powrócić. Śnił mi się znów Gdańsk po powrocie do kraju, kiedy nie zataił się jeszcze kontur ceglanego, podobnie jak Gdańsk, budownictwa Antwerpii i Amsterdamu, nie ucichła ogłuszająca cisza południa martwego Bruges, w której nagle rozlegał się śpiewny dygot carillonu. W tych północnych, bratnich miastach Gdańska myślałam, że pojadę tam kiedyś i wśród ruin szukać będę dawnych śladów.

1952 rok. Od lotniska pod Gdańskiem jeszcze pół godziny drogi tramwajem do miasta. Linia tramwajowa prowadzi przez Wrzeszcz. Jest mokro. Czerwcowe, gęste

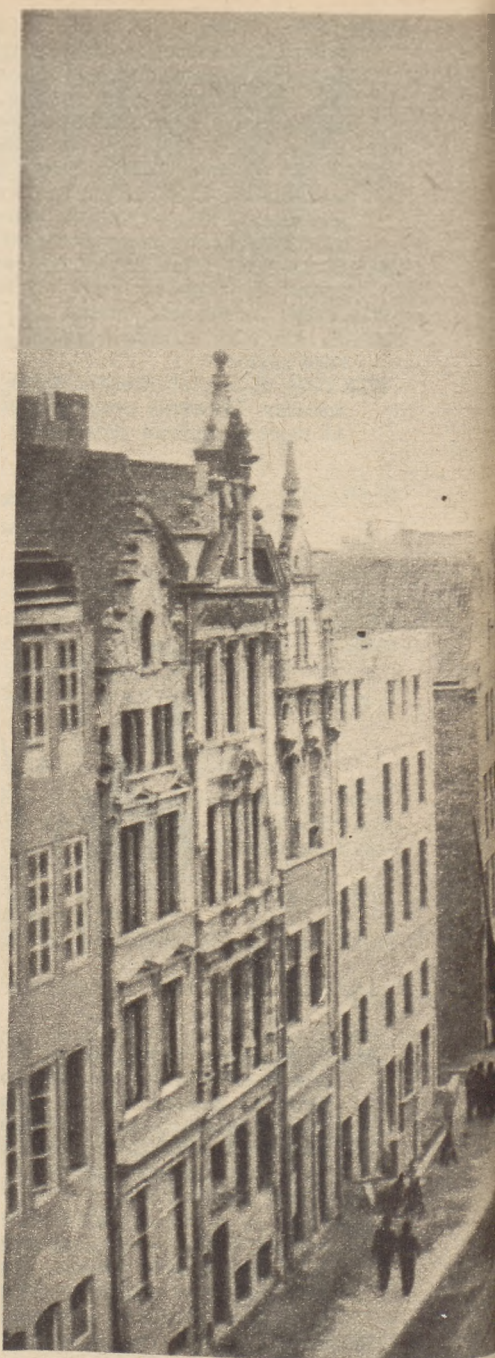
w tym roku deszcze, utrzymują zielen, tę gdańską soczystą zielen, w wiosennej, choć dojrzałej świeżości. Są lipy w czterech szeregach, wiodą tak samo jak niegdyś przez Wrzeszcz do Gdańska. I znów kwitną. Zapach wpada przez ociekające deszczem szyby tramwaju. Bije mi serce. Jak głupio. I jak mądrze odnaleźć w sobie jeszcze tyle radości z powodu prostego powrotu do znajomego miasta.

Hotel Orbis. Naprzeciw tego samego neo-renesansowego, brzydkiego, ale dziś już czcigodnego niemal dworca. I telefon. Dzwonię do Miejskiej Rady Narodowej, do Komitetu Wojewódzkiego, do redakcji „Głosu Wybrzeża“, do Urzędu Konserwatorskiego. Uśmiecham się z ulgą, nakreślając numery: Gdzie jesteście Wolne Miasto Gdańsk, gdzie Komisariat Rzeczypospolitej w Gdańsku, gdzie dawna skomplikowana, autonomiczna administracja? Bez trudu holują mnie te same instytucje, do których zwróciłam się w Poznaniu, czy Białymstoku. „Gdańsk, miasto niegdyś nasze, znowu będzie nasze“ — mówił sędzia Soplica w „Panu Tadeuszu“.

MIASTO PACHNĄCE BUDOWĄ.

Rzeźwy, poranny wiatr szarpie płaszcze, rozwieja poły pilotki inżyniera, naczelnego inspektora odbudowy. Stoimy wysoko, na przedostatnim pierścieniu odbudowanej wieży ratusza. W słońcu wyraźnie rysuje się sylwetka naszego przewodnika, który wskazuje dłonią rozciągające się pod nami obiekty. W olbrzymiej perspektywie widać stąd poprzez plany ulic wytyczonych już kamienicami lub bezkształtnych, jak ugor wzdęty od zwałonej cegły — sieć kanałów na Motławie; z lewej Martwą Wisłą, kłębiastą zielen drzew we Wrzeszczu i cienki sierp morza; na prawo równa, zielona łęga Żuławów z prześwitującymi okami wód. Niżej pod nami miasto. Miasto tak zniszczone przez wojnę, że w pierwszych tygodniach wyzwolenia nie mieszkał w nim ani jeden żywy człowiek. Miasto, które postanowiono wskrzesić. Jak Warszawę. Jedno z najpiękniejszych w świecie. Miasto uznane w całości za zabytek. O niezwyklej architekturze i własnym stylu. Gdańskim. Zabrano się do odbudowy z całym pietyzmem. Podzielono plan miasta na pasy. Pas pierwszy: wierna rekonstrukcja historyczna (jedynie unowocześnione wnętrza dla użytku nowego mieszkańca); pas drugi: wierna rekonstrukcja co cenniejszych zabytków; pas trzeci: nowoczesne osiedla mieszkaniowe. Utrzymanie harmonii urbanistycznej między tymi trzema pasami stało się zadaniem architektów.

Patrząc z wieży ratuszowej łatwiej dostrzec można jak wielkiej dokonano już pracy, niż błądząc wśród zaułków. Tuż pod nami biegnie równy wawóz ulicy Długiej i Długiego Targu, odbudowanej już, nowiutkiej; domy świeże jak wyjęte z formy. Jest to najświetniejsza niegdyś ulica gdańska, odbudowana dokładnie według starych planów, rycin i zdjęć. Tędy, od Bramy Wyżynnej, przez budowaną na włoską modę Złotą Bramę ciągnęły orszaki królewskie ku rezydencji królów polskich w Gdańsku, ku Bramie Zielonej; witało je owacyjnie mieszczaństwo gdańskie, któremu przyjaźń z Rzeczypospolitą szlachecką przynosiła znaczne korzyści. Tędy wjeżdżał do Gdańska Sobieski z dworem, tu ogniomistrze dyrgowali puśczeniem sztucznych ogni na cześć Michała Wiśniowieckiego, mijali ten ratusz w otoczeniu radnych miejskich Zygmunt August, którego posąg z herbem Gdańska i okrętem, pozłacany, przez długie wieki wznosił się na najwyższym świeckim szczycie miasta, na wieży ratuszowej. Stanął tam znowu.



Ulica Długa odbudowana jest wiernie według planu z ratusza

Wzniesiono nowe kompleksy domów na Targu Drzewnym, Szerokiej i Piwniej, odbudowano zbrojownię, zabezpieczono zabytki na Targu Węglowym; wszędzie ręka architekta i robotnika rozgradza chaos cegły, wznosi dawny kształt murów. Kiedy na przedmieściach projektuje się wielkie osiedla robotnicze — Gdańską Dzielnicę Mieszkaniową we Wrzeszczu, osiedle przy ulicy Roosevelta i Kartuskiej — w samym Gdańsku rekonstruuje się i zabezpiecza pełną parą stare domy, czy mury choćby, które nie runęły od podmuchu bomb i ognia.

Ocalały wszystkie niemal mury kościołów w Gdańsku. Ale wszędzie runęły dachy i sklepienia: wewnętrzne ściany ujrzały niebo, deszcz zaczął ściekać po gotyckich kolumnach. Rzucono się do naprawy. Wszystkie kościoły gdańskie i wszystkie co cenniejsze zabytki stoją dziś znów pod dachem. Wiecie, ile to metrów kwadratowych powierzchni? Jeden kolos Mariackiego kościoła pokryty dachem — to hektar przestrzeni. Rozciąga się teraz przed nami, widoczny z ratuszowej wieży, sfalowany nad transeptami czerwoną łuską dachówki, olbrzym, Katedra Morska.

Majster, który pierwszy przyszedł tu ze swoją brygadą, by wziąć się za bary z odbudową najpotężniejszego w Polsce, trzeciego wśród europejskich kolosa kościelnego — zastał na koronie murów gęstą trawę i wybujałą młodą brzoźkę. Zdjął drzewko troskliwie, wysupłał korzeń spośród okruchów cegły i nawianej przez wiatry ziemi — i posadził przed bramą.

Długo dobijamy się do drzwi Morskiej Katedry. Wreszcie, jak w klasztorze, pojawia się w szparze głowa dozorczy budowy, ze zgrzytem otwiera się zasuwa. Jakże tu piękne sklepienia! Jakby w szczęśliwym natchnieniu układane — kryształowe, i gwiazdziste — symetryczne, planowe.

— Trzeba było widzieć, jak je robili nasi robotnicy — mówi inżynier. — Sie dzieli w takim wycinku sklepienia jak w beczce, zamurując się coraz ciśnie, aż wreszcie wyskakiwali w górę i zaklejali szparę jak plaster pszczełli.



Odbudowa zabytkowych kamienic gdańskich wymaga dużej praktyki i cierpliwości

GDĄSK ROMANTYCZNY. WIDOKÓWKI

Miedzy ulicą Wartką i Rycerską najweselej jest w południe. Stoi tam rząd starych domków, starych, ale nie zabytkowych, ot, zwykłych jednopiętrowych domków: tu szewc, tu sklep z lodami, a tu, po schodkach w dół, mała uspołeczniiona knajpka. Za ladą pudełka konserw rybnych i cały polski asortyment alkoholowy. Ale goście siedzący za stolikami nakrytymi schludnie ceratą, piją tylko piwo z wielkich kufli, nie hałasują i nie robią burd, z jakich słyną zazwyczaj goście marynar- skich spelunek.

Obok cicha przystań „tramwaju wodnego“, który przed sezonem odchodzi tak rzadko, że się o tych odjazdach — w zbyt długich przerwach czasu — zapomina. Jest pora odpoczynku południowego. Na dziobie stateczku ułożyli się na brzuchach sternik i konduktor, rzną w karty. Obok wygrzewa się w słońcu kot. Megafon nadaje jakiegoś starego walca filmowego. Po drugiej stronie kanału chwieje się lekko mały żaglowiec. W głębi nudzi się wartownik. Klasyczne czerwcowe południe na peryferiach portu.

Mija mnie dwu trzymających się pod ręce marynarzy, jeden jest w marynar- skim ubraniu, drugi „w cywilu“. Słyszę w przejściu, jak marynarz klaruje swemu koledze: „I uważasz, gdyby mój smyk powiedział mi kiedyś, że nie pójdzie na wodę, za kark go, i nauczę rozumu...“

* * *

Wieczór na Zielonym Moście. Pachnie znów ostro Motława. Z rzadka przechodzi ktoś tędy na Wyspę Spichrzów. Warto oprzeć się tu o drewnianą barierę i po- gapić przez chwilę na wodę. Jest gęsta jak oliwa, widać na niej białe słupy świateł. Noc zaciera wewnętrzne kontury ruin, miasto wydaje się podobne do dawnego, tylko bardziej ciche. Odbijają się stare i odbudowane spichrze. Jak błyszcząca gwiazdka posuwa się w dali, środkiem kanału, wyraźne światło promu.

GDĄSCY LUDZIE

Jest sobota. Na ulicy Długiej, w samym środku miasta, przed hotelem robotni- czym, tłum, rozmowy, nawoływania. Zma- wiają się na wieczorne rozrywki. W Trój- mieście, do którego poza Gdańskiem należą Gdynia i Sopot — obszar o rozciągłości wewnętrznej 23 km — jest w sumie trzy- naście kin, (różne Neptuny, Delfiny, Ma- rynarze, Fale, Bałtyki), trzy teatry, po jednym w każdym ośrodku. Komunikacja jest łatwa, autobusowa i tramwajowa, programy zmieniają się często. W czasie mego pobytu grano w teatrach „30 srebr- ników“ i „Pociąg do Marsylii“, w Gdańsku był wieczór baletowy. Poza tym cyrk i na każdym słupie z ogłoszeniami widać dru- kowany lub ręcznie wymalowany afisz zapraszający na „Bal ZMP“, „Bal arty- stów“ czy „Bal stoczniowca“. Rozrywek sporo, ale wciąż jeszcze za mało jak na potrzeby tej chłonnej społeczności robot- niczej ze stoczni, budowy i portu, która zamieszkała w nowych osiedlach i rekon-



Przez budowaną na włoską modę Złotą Bramę ciągnęły orszaki polskich królów.

struowanych przez siebie i dla siebie sty- lowych kamienicach zabytkowych ulic. Buduje się w Gdańsku nowe wielkie kino na tysiąc dwieście osób. Zatwierdzony zo- stał przez Radę Ministrów nowy Dom Kul- tury.

Kiedy chodzić tak środkiem miasta w różnych porach dnia, nasuwa się uporczy- wie myśl, że Gdańsk stał się po wojnie miastem typowo robotniczym: miasto żyje regularnością pracy i wypoczynku robot- niczego, zależnie od niego pustoszeje i za- pełnia się. Płynie ludność od Kartuz do Gdańska i z powrotem, rytm życia jest regularny i prosty: babiny nie wysiadają beczynnie pod domami, „kapeluszcownicy“ i „kapeluszcze damy“ nie zadymiają pa- pierosowym dymem kawiarni i nie obno- szą się godnie, a po próżniaku, po ulicach. Zawaliły się domy mieszczaństwa gdań- skiego, przepadł syty a niezarobiony włas- ną pracą dostatek, ciągnięty ze spółek ak- cyjnych, dostaw zboża, przewozu win i ko- rzenn. Miasto objął nowy, proletariacki właściciel.

Zresztą przechadzka po peryferiach miasta, od Wrzeszcza do Oliwy i Sopotu, przypomni nam, że Gdańsk jest przecież i poważnym ośrodkiem intelektualnym. Z jednej strony stocznia, z drugiej kilka pierwszorzędnych uczelni uniwersyteckich

ogniskuje jego życie: Politechnika z wy- działem budowy okrętów, Akademia Me- dyczna, Wyższa Szkoła Handlu Morskiego, Wyższa Szkoła Pedagogiczna, Szkoła Nauk Plastycznych, projektowany w Planie Sześcioletnim największy Instytut Wodny w Europie.

Miasto robotników, miasto studentów. Miasto młode, z olbrzymią przewagą mło- dzieży. Uderzyło mnie to i zdumiało, kiedy wszedłem wieczorem do restauracji Orbisu. W trzech wielkich salach nie dopatrzysz się niemal klienteli poza granicą trzydzie- stu lat. I uderzające: młodzież o jakimś no- wym stylu bycia, wesoła, pogodna, nie ha- łaśliwa. Jest w ich tańcach i manierach jakiś akcent wiejskiej zabawy i tańcówki na przedmieściu, gdzieś na Woli, czy w ka- liskim parku. Nie odróżnisz młodzieży uniwersyteckiej od robotniczej. To samo chłopskie i robotnicze pokolenie w towa- rzyskim sojuszu. Tu jest zabawa, tam na stoczni pracują na zmianę ich koledzy, jacyś inni wiążą pęknięty filar w zabytko- wej hali, inni jeszcze wkuwają do egza- minów. Dyplom Politechniki Gdańskiej nie oznacza już początku trudnych poszuki- wań zajęcia za granicą. Ci, którzy kończą uczelnię, będą pracować w stocznich Szczecina i Gdańska, przy budowie włas- nych okrętów.

dawnych planów. W głębi zachowany
wieża.

Idziemy olbrzymią halą głównej nawy. Wysoko, na zawrotnej wysokości pracują zaczepleni na sznurowych drabinkach dwaj robotnicy. Dyndają się sznury — uwaga! Można dostać ułamkiem cegły po głowie.

— A tu widać ślad wielkiej kampanii ratunkowej — pokazuje inżynier na jeden z filarów, gruby jak stuletni dąb i staran- nie wokół oklejony — Na jednej trzeciej wysokości widać ślad pęknięcia. Filar prze- łamał się w czasie roboty i groził zawale- niem. Gdyby runął, pociągnąłby za sobą sklepienie. Mógł runąć w każdej chwili. Robota była niebezpieczna. Podparto go wokół, robotnicy wspięli się na górę. Jeden stanął z gwizdkiem na dole. Gdyby filar zaczął się dalej zarysowywać, ci z góry mieli co prędzej zjechać na zewnątrz. Ro- bota jak w lesie, dąb gotów i drwala i leśniczego przydusić. Pracowali bez przerwy przez trzy dni i trzy noce, przy światłach.

Przemierzam tę budowę kolosalną, dłu- gą na przeszło sto metrów i myślę, jak tę konstrukcję żmudnie i przy świetle główni wykonywali średniowieczni robot- nicy i majstrowie przez sto lat przeszło, wciąż ją rozszerzając i upiększając. I jak ten architektoniczny zabytek odbudowują nowi robotnicy.

Wychodzimy, żegnamy się. Szczeka za- jadła i dopomina się uwagi czarny piesek dozorca przywiązany do jednej z kolumn.

— Może pani śmiało reprodukować zdjęcie z przedwojennego sklepienia Dwó- ru Artusa. Nowe jest najwierniej odtwo- rzone. Trzeba tylko usunąć rusztowania, a to już sprawa zaledwie kilku dni — po- wiedział mi inżynier.

Cytuję ten fragment rozmowy cieka- wym, którzy znali przed wojną Dwór Ar- tusa, lub słyszeli o nim wówczas, kiedy w Wolnym Mieście Gdańsku hitlerowcy zawieszali tkaninami orły polskie i usu- wali ustawione tu posągi polskich królów. Cały wystój wnętrza ocalał. Staną znów te same posągi. Orły zachowane w skar- bcu, zwanym Krzysztofem Wielkim, zo- staną znów odsłonięte.



Wznoszą się znów spichrze nad Motławą. Zaroi się na kanale.



Oto fasady kamieniczek gdańskich. Wnętrza są nowoczesne.

CO KRAJ, TO INNA MUZYKA...

JERZY WALDORFF



Kompozytor Igor Strawiński — już tylko jako straszący duch formalizmu..



Operetka Lehara w amerykańskim wydaniu. „Wesoła wdówka” w wannie.



John Ray — człowiek, który dosłownie „wyplakał” sobie powodzenie..

STARE, znane wszystkim przysłowie uczy, że „Co kraj, to obyczaj”. Obyczaj różny, wynikający z tradycji narodowych, warunków społecznych, rozwoju kulturalnego. Różny w każdej dziedzinie, także w sztuce, a więc i w muzyce. Trawestując stare przysłowie, można by rzec: „Co kraj, to inna muzyka”.

* * *

W Paryżu został niedawno zamknięty wielki „Festiwal Sztuki”, zresztą dosyć specjalny. Politykom zachodnim chodziło o to, żeby wykazać jak dużo wniosły do sztuki prądy formalistyczne ubiegłego półwiecza i — co za tym idzie — jak niesłusznie prądy owe zwalczane są w krajach socjalizmu.

W ramach Festiwalu pokazano co najgłośniejsze dzieła literatury, plastyki i przede wszystkim muzyki, stworzonej na Zachodzie, w latach 1900 — 1950. Ale tu spotkał organizatorów Festiwalu przykry zawód, bo formalistyczne dzieła nie zdobyły oczekiwanego powodzenia.

Jeśli oklaskiwano „Stabat Mater” francuskiego kompozytora F. Poulenca, to dlatego, że Poulenc w utworze tym nawiązuje do dawnych tradycji, przede wszystkim do J. S. Bacha.

Głośny od kilku dziesiątków lat, siedemdziesięcioletni dziś kompozytor, Igor Strawiński, na którego najbardziej liczone, nie zyskał uznania publiczności dla swych najświeższych kompozycji. Kompozycje te, „oparte” na formalistycznych spekulacjach, przeszły bez większego wrażenia, natomiast duży sukces odniósł balet „Święto wiosny”, pochodzący z wczesnego okresu twórczości Strawińskiego, kiedy kompozytor ten — jeszcze wówczas nie wynarodowiony — czerpał natchnienie z ludowej muzyki rosyjskiej.

Strawiński, mimo podeszłych lat, nie gardzi nowoczesnymi środkami reklamy prasowej. Chętnie pozuje fotografom i chętnie widzi swoje zdjęcia w dziennikach. Podczas Festiwalu „wytworny” Paryż zachwycał się ostatnim zdjęciem Strawińskiego, na którym kompozytor wygląda jak duch z bajek dla niegrzecznych dzieci. Już tylko — straszący duch formalizmu..

Podczas Festiwalu przejeżdżał przez Paryż, w drodze do Mediolanu, największy współczesny dyrygent — Artur Toscanini, który — ciągle w pełni sił — obchodził niedawno uroczyste 85-lecie swych urodzin. I tu wybuchł skandal! Ku nieopisanemu zgorzneniu organizatorów Festiwalu, Toscanini zatrzymał się w Paryżu tylko przez jeden dzień, na

żadnej imprezie festiwalowej nie był i szybko pojechał dalej.

* * *

Co kraj, to inna muzyka... — Mieszkańska opinia w USA gorąco interesuje się nakręcaną na kolorowy film w Hollywood operetką Lehara „Wesoła wdówka”. Realizatorzy filmu stwierdzili przy tej okazji, że operetka ma wielkie artystyczne niedociągnięcia: Lehar nie pokazuje pięknej wdówki w wannie, a cóż to za sztuka, w której nie ma ani razu nagiej bohaterki, wychodzącej z kąpieli! Wobec tego dorobiono stosowną scenę i pisma amerykańskie pełne są zdjęć wesołej wdówki — Lany Turner — w wannie.

Obok tej wanny, prasa amerykańska entuzjazmuje się jeszcze drugą sensacją „muzyczną”: występami pieśniarza Johna Ray, który „wyplakał” sobie powodzenie”. Przedsiębiorczy młody człowiek wyćwiczył się mianowicie w tym, że podczas śpiewania sentymentalnych piosenek zalewa się prawdziwymi łzami. Najpierw lekko łka, potem szlocha, potem ryczy jak zarzynany bawół, a publiczność amerykańska wyje z zachwytu. — Koncert wysokiej klasy!

Ostatnio, podczas występu Ray’a w Filadelfii, estradę musiał otoczyć oddział policji, gdyż do pieśniarza przypuściły szturm zhisteryzowane kobiety ze scyzorykami i żyłkami, pragnąc mieć kawałek jego ubrania, pęk włosów, lub choćby... płatek skóry „na pamiątkę”.

Co kraj, to inna muzyka...

* * *

Tymczasem w Japonii mnożą się masy nędzarzy. Na ulicach miast widzi się coraz to więcej żebraków (w tym wielu byłych żołnierzy), którzy starają się coraz nowymi środkami pobudzać przepiętą litość przechodniów. Ze jednak Japonia jest pod „dobroczynną” okupacją USA, więc Amerykanie nie pozostawili żebraków bez pomocy. Na rynek japoński rzucono masowo tanie amerykańskie mikrofony z głośnikami i oto rozpaczliwe śpiewy i błagania żebraków rozlegają się po całym kraju z wielokrotnioną siłą.

Taka muzyka rozbrzmiewa w Japonii.

* * *

Co pilniejsi słuchacze Polskiego Radia zostali niedawno zafascynowani nadawanym z płyt śpiewem ludowej peru-

wiańskiej śpiewaczki — Ymy Sumac. Operuje ona skalą głosu, jakiej nie miała i nie ma żadna inna śpiewaczka świata: od głębokiego kontraltu, poprzez alt, mezzosopran, po najwyższe tony sopranu koloraturowego włącznie. Dół skali u Ymy Sumac ma zabarwienie barytonowe, góra przypomina gwizdy piccoliny, a do tego trzeba dodać dużą kulturę i muzykalność tej śpiewaczki, by zrozumieć, że jest ona fenomenem śpiewaczym, jedynym w historii muzyki.

Kiedy przed miesiącem Yma Sumac zjechała do Europy, reporterzy pism spodziewali się zobaczyć jakieś monstrum pół-męskie, pół-kobiece, potężne, brodate, mówiące na zmianę basem i sopranem. Tymczasem stanęli oko w oko ze śliczną, 24-letnią kobietą, pełną ujmującej prostoty. Z miejsca odmówiła „sensacyjnych” wywiadów i udziału w reklamowych przyjęciach. Oświadczyła, że — poza swymi występami — chce wykorzystać pobyt w Europie na studiowanie pieśni ludowej różnych europejskich narodów.

Co kraj, to inna muzyka, inni muzycy, inne perspektywy na przyszłość...



Toscanini nie zatrzymał się w Paryżu.



Na ulicach miast japońskich wśród żebrzących spotyka się byłych wojskowych. Rozpaczliwe ich błagania rozlegają się przez głośniki ze zwielokrotnioną siłą.



Yma Sumac, znakomita peruwiańska śpiewaczka o niebywałej skali głosu.

nasi fotokorespondenci donoszą

LAS I KONCERT SKRZYPCOWY

Zapyta ktoś, co ma wspólnego las z koncertem skrzypcowym, wykonanym np. przez Umińską. Znamy i miłośnicy muzyki znajdują bardzo prostą odpowiedź: las może być tematem utworu muzycznego. Słusznie! Ale tym razem nie o to idzie.



Gdybyśmy zapytali Umińską, czy zagrałaby na skrzypcach, gdyby zabrakło jej kalfonii do wysmarowania smyczka, niewątpliwie usłyszeliśmy w odpowiedzi, że

w takim wypadku z koncertu byłoby nico.

A kalfonia — to właśnie las, a ściślej — główny, obok terpentyny, produkt pochodny żywicy drzew iglastych.

Na wczasach i wycieczkach leśnych często spotykamy grupy drzew z okorowanymi od dołu pniami, ponacinane ukośnymi rowkami, z których spływa gęsta, prawie przezroczysta ciecz do podstawionych naczyń glinianych, metalowych lub szklanych.

Polska przedwzrębna doprowadza duże ilości produktów pochodnych żywicy z zagranicy. Jednym z głównych producentów tego surowca były lasy Francji. Oczywiście, że za sprowadzane produkty trzeba było słono płacić.

Leśnictwo Polski Ludowej od pierwszych chwil po wyzwoleniu uniezależniło się od kosztownego importu. Dzięki licznym pomysłom racjonalizatorskim oraz pełnemu wykorzystaniu naszej bazy surowcowej — już w roku 1949 pokryto całe zapotrzebowanie krajowe.

Lata do 1949 roku były więc okresem wyczerpanej walki o ilość. Z chwilą osiągnięcia tego celu — przyszła kolej na walkę o jakość produkcji. Walka ta trwa do chwili obecnej. Idzie bowiem o to, aby przez jak najstarszą pracę uchronić cenny surowiec od zanieczyszczeń, a więc oddać fabrykom produkt o jak największej zawartości właściwych dla żywicy składników. Żywicznar dba więc o to, aby do naczyń z żywicą nie dostały się igły i liście drzew, odpadki kory, piasek i woda deszczowa, która obniża wartość techniczną surowca. Wreszcie żywicznar musi dbać

o jak najstarsze magazynowanie żywicy.

W tym kierunku idą zobowiązania załóg robotniczych w nadleśnictwach całego kraju. Ten cel również miało zobowiązanie podjęte przez żywicznar nadleśnictwa Różana w woj. bydgoskim, którzy wezwali wszystkich żywicznarzy do współzawodnictwa o tytuł najlepszego nadleśnictwa w żywicowaniu.

Czołowy żywicznarz tego nadleśnictwa, Bronisław Grzempa podjął indywidualne zobowiązanie — pozyskanie po 3,70 kg dobrej jakości żywicy z jednej spaly (spala — powierzchnia pnia drzewnego poddana nacinaniu). Zobowiązanie to jest cenne, jeśli się zważy, że w roku ubiegłym osiągnąć przeciętnie nie więcej jak 2 kg. Grzempa wezwał jednocześnie do współzawodnictwa o tytuł najlepszego żywicznarza w kraju. Napływają już meldunki o podejmowaniu podobnych zobowiązań i gdzie indziej.

W leśnych warsztatach praca wre przez całe lato aż do chłodu jesienią. Na plan pracy żywicznarzy czeka przemysł, czekają robotnicy w fabrykach. Bo żywica, to cenny surowiec, z którego produkują się kalfonie i terpentyny, niezbędne produkty w przemyśle papierniczym, mydlarskim, farbiarskim, farmaceutycznym, garbarskim, przy wyrobie materiałów izolacyjnych itd. itd.

Żywica więc to nie tylko kalfonia do skrzypiec, ale dobry papier na książki i zeszyty, dobre mydło, skóra na buty, pasta do podłóg i obuwia i wiele innych artykułów powszechnego użytku.

St. Kasprzyk, Warszawa

ŚWIDNICA JEST MIASTEM ODWIECZNIE POLSKIM

Dowiedziałem się, że organ rewizjonistów niemieckich „Schlesische Rundschau” zapowiedział, iż w miejscowości Lichtenfels (północna Bawaria) odbędzie się „Obchód Jubileuszowy”, w związku z 700-leciem istnienia „rdzenia niemieckiego miasta Schweidnitz”, czyli polskiej Świdnicy.

Otóż na ratuszu świdnickim znajduje się tablica z napisem: „Ratusz ten stanął na prastarej ziemi piastowskiej — z rozkazu księcia Bolko II — w roku 1328. — styl gotycki. Odbudowany po pożarze w roku 1725-6. Portal ratusza wykonany w Kamieńcu — w roku 1728 przez Jana Krzysztofa Hampla. A figury nad frontonem głównym przedstawiają: Bolko I — Bernard — Bolko II — i Karol IV, król czeski. Wieżę odbudowano w r. 1765 — która podczas ostrzeżenia przez Austriaków w r. 1757 spłonęła do wysokości „zegara”.

Jeden z kronikarzy pisze, że w r. 755 na lewy brzeg Bystrzycy ściągnęli pod wodzą Świdnia liczne oddziały Słowian, aby zaatakować rozbójników, którzy zdobyli ufortyfikowany gród na górze Słęży.

Świdno, zdając sobie sprawę z trudności zdobycia grodu, otoczył go systemem wałów obronnych — starannie przygotował się do natarcia, polecając wybudować prowi-

zoryczne schronienia dla ochrony przed deszczem i słońcem.

Wyprawa nie udała się, jednak nad brzegiem Bystrzycy pozostały te właśnie zabudowania, które odtąd nazywano Świdno, później Świdnicą.

Z biegiem czasu Świdnica staje się stolicą piastowskiego księstwa Świdnicko — Jaworskiego, a swój rozwój zawdzięczała położeniu na skrzyżowaniu ważnych szlaków handlowych.

Od r. 1248, po rozpadnięciu się Dolnego Śląska na dzienne, cały region świdnicki należy do księcia legnickiego, Bolesława Rogatki. Syn jego, Bolko I, po śmierci Henryka IV Wrocławskiego po-

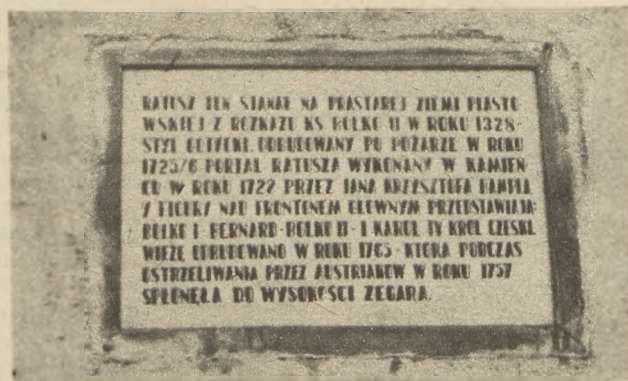
siadał w swym ręku cały pas podgórski od Łużyc po Nisę Północną ze Świdnicą, Dzierżoniowem i Strzelinem.

Kroniki podają, iż w wiekach średnich wielu świdnickich mieszczan studiowało na Uniwersytecie Jagiellońskim, umacniając w ten sposób swą polską kulturę.

W r. 1794 Niemiec, Zymmerman, stwierdził z zalem, że „w wielu wsiach i okolicach Świdnicy gadają jeszcze po polsku”.

O tym wszystkim doskonale wiedzą goebbelsowscy następcy, a ich „echt” niemieckie „jubileusze” nie zmieniają historycznych faktów.

Józef Bieniek, Świdnica



„FLIS” WE WROCŁAWIU

Cała Polska czci 80 rocznicę śmierci wielkiego pieśniarza ludowego i twórcy opery narodowej — Stanisława Moniuszki.

U nas we Wrocławiu utwory Moniuszki od dawna nie schodzą ze sceny. W repertuarze Państwowej Opery Wrocławskiej znajduje się obok „Halki” najcenniejszy grana opera Moniuszki — „Paria”.

Obecnie dla uczczenia rocznicy wielkiego kompozytora wystawiona została wspaniała opera ludowa w jednym ak-

cie — „Flis” oraz rzadko widziany na naszych scenach balet — „Na kwaterek”. Jest to rodzajowy obrazek wiejski w opracowaniu choreograficznym Zygmunta Patkowskiego.

„Flis” wystawiony jest w inscenizacji i reżyserii Stanisława Drabika, w opracowaniu scenograficznym Władysława Jarockiego, pod kierownictwem muzycznym Włodzimierza Ormickiego.

Andrzej Mazanowski, Wrocław



Scena z opery „FLIS” — Alicja Dankowska jako Zosia (sopran) i Stanisław Żerdziński w roli Franka (tenor).
Foto — Zdzisław Moser

NAJMŁODSI CZYTELNICY „ŚWIATA”

Czynię zadość prośbie dzieci i przesyłam zdjęcia zrobione w Bydgoszczy, na wycieczce za miastem. Powiedziały: „Niech redaktorzy zobaczą, jak wyglądamy na codzień”. Dzieci obawiają się, że w redakcji już je za-



Nasi najmłodsi Czytelnicy z Bydgoszczy na wycieczce szkolnej za miastem

pomniano, więc przypominam: są to uczennice i uczniowie klasy VI-B Szkoły Podstawowej Nr 25 w Bydgoszczy, które odwiedziły tygodnik „Świat” 24 maja b.r. rankiem. Do Warszawy przyjechały na nagrodę za przodownictwo w międzyszkolnej zbiórce złomu.



Maria Jarocka w rozmowie z radzieckimi kolchoźnikami

.....A z Moskwy pojechalismy do obwodu Kamieniec Podolski, gdzie zwiedziliśmy 4 kolchozy, sowchoz i stację maszynowo-traktorową. Tutaj widzieliśmy wielkie, skomplikowane maszyny, które wyręczają człowieka w ciężkiej pracy. Widzieliśmy tam kombajny do żęcia i koszenia zboża, kombajny do rwanja, obrzynania i czyszczenia buraków, maszyn do motyczkowania buraków i wiele, wiele innych maszyn, o których istnieniu nawet nam się nie śniło.

Następnie zwiedziliśmy kolchoz im. Włodzi-



Redakcja „Świata” nie zapominała o odwiedzających klasy VI-B z Bydgoszczy

Klasa VI-B ma i inne zasługi. Otrzymała najlepsze w szkole oceny z nauk i na eliminacjach artystycznych zespołów szkolnych województwa bydgoskiego zajęła jedno z pierwszych miejsc.

Warszawa bardzo im się podobała, pragną odwiedzić ją jeszcze raz, bo w czasie dwóch dni nie wszystko zdążyła obejrzeć. Przyjdą wtedy do tygodnika „Świat” powtórnie i poproszą o zaprowadzenie do drukarni, ciekawe są bowiem, jak powstaje pismo.

Jan Rajchert, Bydgoszcz

BYLIŚMY W MOSKWIE

mierza Lentina w miejscowości Letaba. Kolchoz posiada 3.500 ha ziemi, 316 koni, 516 krów, 670 świń, 620 owiec i 2.500 sztuk drobiu. To wszystko stanowiło własność wspólną kolchozu, bo oprócz tego każdy członek kolchozu im. Lentina hoduje na swym przyzagrodowym gospodarstwie po jednej krowie i cielęciu, a oprócz tego świnię, owcę i drób bez ograniczenia. Każda krowa w tym kolchozie dawała co najmniej 20 litrów mleka dziennie. Zarobek czterosobowej rodziny, która odwiedziłam, wynosił w roku ubiegłym 400 pudów zboża, 400 kg. cukru i 9.700 rubli gotówki. Poza tym ładny dochód przyniosła działka i hodowla przyzagrodowa. A były rodziny, które zarabiała o wiele więcej....

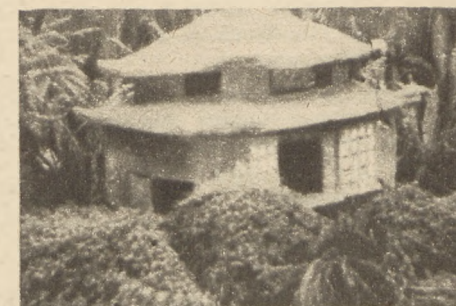
Sa to słowa Marii Jarockiej, przewodniczącej spółdzielni produkcyjnej w Tarnogórze (pów. krasnostawski, woj. lubelskie). Obywatelka Jarocka była uczestniczką wycieczki chłopów polskich do Związku Radzieckiego. Nabyte tam doświadczenie pomoże jej jeszcze lepiej niż dotychczas kierować pracą spółdzielni.

Spółdzielnia produkcyjna w Tarnogórze ma już za sobą poważne sukcesy. W roku ub. — w pierwszym roku swego istnienia — osiągnęła piękne wyniki. Wysokość dniówki obrachunkowej wyniosła 31,04 zł. Po wprowadzeniu zaś hodowli w gospodarstwie spółdzielczym dochody członków wzrosną jeszcze bardziej.

Swymi wrażeniami z pobytu w Kraju Rad. Maria Jarocka chętnie dzieli się z mało i średniozamojnymi, indywidualnie gospodarującymi chłopami, zachęcając ich, by weszli na tory gospodarki kolektywnej, która ma na celu zarówno podniesienie dobrobytu najszybszym mas chłopskich, jak i wzmocnienie potencjału gospodarczego w naszej ludowej ojczyźnie.

Feliks Praszczak — Lublin

W POLSKIEJ DŻUNGLI



Miniatury domki japońskie wprowadza nastrój egzotyki.

właściciela, księcia Henryka Hochberga - Pszczyńskiego, który podczas wojny czmychnął do Anglii.

Henryk Pszczyński znany był ze swoich antypolskich wystąpień i dlatego jeszcze w 1936 r. został niu skonfiskowany jego majątek w Pszczynie. Magnat ten, do którego należał prawie cały powiat wałbrzyski i wiele zakładów przemysłowych nawet w Polsce Centralnej, niewiele troszczył się o ludzi zatrudnionych w jego dobrach. Podobnie jak jego ojciec nie przebiegał w środkach, by zwiększyć swoje dochody. Uruchomienie ciepłarni w Lubiechowie miało mu przynieść duże zyski. W tym celu sprowadził drzewa egzotyczne z różnych krajów. Przewiezienie 50-letnich, a nawet starszych palm, było niełatwe. Drzewa wykopano razem z ziemią, zabezpieczając je specjalnym rusztowaniem i ochraniając przed zmarznięciem w czasie drogi do Lubiechowa.

Koszt wybudowania oranżerii wynosił 7 milionów marek.

Dziś w Lubiechowie jest PGR, gdzie prowadzi się hodowlę m. in. takich egzotycznych owoców, jak: banany, ananasy i południowe brzoskwinie oraz winogrona.

Leon Kucharzewski, Wałbrzych



Jedna wiązka winogron z tych drzew waży około dwu kilogramów.

Opis podróży do Australii i pobytu tamże od 1852 do 1856 roku.

przez Seweryna Korzelińskiego.

(4)

XII. DEBARKOWANIE

Już od rana wyciągają linami kufry, skrzynie, paki, namioty i różne sprzęty, których wylizywać nie podobna. Za każdym przedmiotem wyciągniętym czytają numer i nazwisko właściciela, a ten odbiera go i składa na kupę.

Jeżeli przy pakowaniu na okręt jest wrzawa i zamieszanie, to przy wyładowywaniu dzieje się stokroć gorzej. Tamto trwa przez tydzień lub dłużej — każda kompania lub każdy pojedynczy pasażer przywozi osobno i do schowania oddaje rzeczy swoje. Tu w jednym dniu chciano by się pozbyć wszystkiego, bo utrzymanie dzienne 650 ludzi kosztuje niemało. Kilkunastu więc majtków, zaprzęgniętych do liny, szybko wyciąga bagaże. Ledwie paka lub skrzynia pokaze się i nazwisko właściciela przeczytane, rzucają ją na bok i często gwałtownym uderzeniem rozbijają, a drobiazgi wewnątrz jej zapełniające rozsypują się po pokładzie. Tam znowu ktoś stoi opodal i słysząc swoje nazwisko chce się dostać do własności, przedziera się przez tłum otaczający otwór pokładu, tłum go przepuścić nie chce, więc krzyk, przekleństwa i zamieszanie bez końca. Tu znowu parowiec nadchodzi i ciągnie ze sobą dwa inne statki, na które przeładowują się ci, którzy wszystkie bagaże odebrali. My także ładujemy, chociaż jeszcze wóz i pompa, któreśmy przywieźli ze sobą, gdzieś na dole. Trzeba, żeby ktoś został do jutra na okręcie; zostaje więc dwóch, reszta wsiada.

Trzy okręty napakowane bez miary bagażami i pasażerami, wczoraj odszedł czwarty nie mniej naladowany, a przecie wszystkiego pakunku nie zabrał z „Wielkiej Brytanii“ — tym sposobem jej wielkość daje się wtedy pojmować. Kapitan i pierwszy oficer Cook stoją na dole na schodkach i uchyleniem czapki żegnają pasażerów.

Płyniemy ku brzegowi, pomijając piaski oznaczone słupami drewnianymi, i zwracamy się na prawo wchodząc w koryto rzeki Yarayara. Rzeka wąska, ale głęboka, bo okręty do samego miasta dochodzą. Brzegi niskie, prawie równe z wodą, błotniste a zarosłe chrośnikami i liściem podobnym do cyprysu. Na mieliźnie przy brzegu siedzą pelika-

ynosimy na brzeg rzeczy. Najmujemy dwa wozy, każdy po dziesięć szylingów, i jedziemy przez murowany most na drugą stronę rzeki, gdzie stało kilkadziesiąt namiotów należących do pasażerów przybyłych na innych okrętach przed nami i równie mało zamożnych jak my. Zmierzchać poczęło, rozbijając namioty, nie ma czasu, od rana nic nie jedliśmy, na prędcę więc rozłożono ogień, zgotowano herbatę, która z chleba kawałkiem składała się na nasz obiad i wieczerzę. Pogoda śliczna, a my, znużeni mocno, przespąć będziemy mogli noc pod drzewami. Każdy, jak może, przyrządza posłanie i rzuca się nań, kontent, że spokojnie na ziemi odpocznie. Tak jest, już spoczywamy na ziemi nieznannej, morzami i mil tysiącami oddaleni od kraju rodzinnego. Rzemiosła żadnego nikt z nas nie umie, do roboty ręcznej nikt nie przyzwyczajony, a zwyczaj i stosunki tutejsze zupełnie nam nieznane. Co tu począć? Do czego się wziąć? Przykre i trapiące te uwagi przesuwają się w myśli, lecz sen dobroczynny ulagadza je i mamiącą przedstawia nadzieję.

XIII. ODKRYCIE AUSTRALII

Niektórzy utrzymują, że Tasman¹⁾ był pierwszym odkrywcą Australii, ale niezbita pewność istnieje, że już w roku 1605 albo 1606 Arnheim²⁾ posłany z Amboiny³⁾ odkrył jej brzegi północne, lecz wziął je za część znanej już wtenczas Nowej Gwinei. Nie będąc pewnym jaką ma ziemię przed sobą, dał jej swoje nazwisko — Arnheim Land. Ale i on nie był pierwszym odkrywcą tych brzegów. Nie ma bowiem wątpliwości, że Chińczycy znali od niepamiętnych czasów północną stronę Australii. Od Bóg wie jak dawna założyli oni swoją kolonię na wyspie Timor, 250 mil tylko odległej. Zwiędzali różnymi czasy pierwszej i potem miejsca w Australii nazwane teraz Cap York i Port Essington. Zwiędzali je dla zbierania chińskiego przysmaczku — węzów morskich (trepang).⁴⁾ Holendrzy jednak przez Arnhema zawiadomieni o istnieniu jakiejś ziemi gdzieś tam na południowej stronie Gwinei, przybywali w różnych czasach i nadawali nazwiska swoje całej prawie północnej stronie Australii. Byli to: Tasman, Van Diemen, De Witt, Enracht i Edel.

Miedzy 1520 rokiem a 1600, Hiszpanie zwiędzając posiadłości swoje w Ameryce Południowej, odkryli różne wyspy należące teraz do grupy australijskich.

Jak Holendrzy i Hiszpanie byli pierwszymi w badaniu brzegów Australii, tak Anglicy ostatnimi. Nie można im wprawdzie odmówić zasług co do poszukiwań, robili oni także i odkrycia, najczęściej jednak lubili cudzymi łapkami wyciągać kasztany z ognia. Przybywali w miejsca wynalezione przez innych marynarzy i brali je w swoje posiadanie — czasem coś kupili, ale najczęściej przemocą wydarli. Byłoby zbyt rzeczą na poparcie mego twierdzenia wylizywać tu miejsca, tym sposobem przez Anglików posiadane — aż nadto dobrze są one znajome.

1) Tasman — żeglarz holenderski z połowy XVII w.

2) Arnheim — żeglarz holenderski żyjący na przełomie XVI i XVII w.

3) Amboina — jedna z wysp archipelagu Molukki.

4) Trepang — zwierzę morskie z typu szkartupmi, gromady strzyków.

Wiliam Dampier, jeden z najsmielszych żeglarzy onego czasu, wydawca opisu żeglugi wokoło świata, z którego Defoe⁵⁾ wiele czerpał uwag, odwiedzał Nową Holandię trzy razy. Pierwszy raz w towarzystwie bukanierów (korsarzy amerykańskich), z którymi dłuższy czas żył. Drugi raz jako pilot okrętu Jego Królewskiej Mości — „Roebuck“. Trzeci raz jako pilot kapitana Woods Rogersa w 1710 roku. W drugiej podróży zbadał blisko trzysta mil na południowym wybrzeżu Australii, nazwanym teraz Nową Południową Walią. W trzeciej podróży przechodził Torres Straits i zwiędził Zatokę Rekinów (Sharks Bay), brzegi Nowej Gwinei, Nowej Brytanii i Nowej Zelandii.

Powzięte wiadomości o Australii tak były jeszcze wtenczas niedokładne, a ogólne pojęcie systemu świata tak mylne u Anglików, że ich geografowie ówczesni pisali o jakiejś Terra Australis Incognita, która tam gdzieś koło południowego bieguna być musi, dla utrzymania równowagi z rozległymi ziemiami znajdującymi się na północnej półkuli. Do zbadania ziemi tej nieznannej posłany był kapitan James Cook, który w lipcu 1769 roku, krążąc pomiędzy Wyspami Towaryskimi, do Australii odpłynął. Rozpocząwszy poszukiwania zwiędził on Nową Zelandię, która przez Tasmana już w roku 1662 odkryta była. Opuściwszy ją żeglował na zachód i spostrzegł Nową Holandię⁶⁾ 11 kwietnia 1770 roku. Przez szesnaście dni uważał i próbował gdzieby stanąć można, nareszcie 27 rzucił kotwicę w miejscu nazwanym teraz Botany Bay. Wylądował z panem Banks, prezydentem Towarzystwa Królewskiego.⁷⁾ Jak zwykle bywa po długiej podróży morskiej, przyjemnie zajęta ich żywa zieloność i różne przedmioty natury zupełnie odmiennej od tych, które w poprzedzających podróżach po różnych częściach świata widzieli, jak kangury skaczące na dwóch nogach po lasach rzadko zarosłych, drzewa gumowe i ptaki okryte różnobarwnymi piórami. Zbadawszy okolicę powierzchownie tylko i z niewielką znajomością rzeczy przez kilka dni, osadzili ją zdatną do założenia kolonii. Spuścił się potem Cook aż do Cap York, a przechodząc między Nową Gwineą i Australią przekonał się, że to są dwie odmienne wyspy, tak jak to już pierwszej powiedział Torres.

Cook pięć razy lądował w różnych miejscach i brał je w posiadanie podług przyjętego zwyczaju. Te badania Cooka dołączyły się do zaczętego przez Holendrów i Hiszpanów w XVII stuleciu okraczania ogromnej tej wyspy. Przy badaniach robionych przez Cooka musiała go odstąpić zwykła przezorność i przebiegłość, a razem i szczęście, kiedy na założenie pierwszej kolonii wybrał Botany Bay, z zatoką niebezpieczną, miejscem pozbawionym wody do picia, a ominął Port Jackson, gdzie leży śliczne miasto Sydney, i Mareton Bay ze splawną rzeką. Stracił sposobność opatrzenia i zbadania Port Phillip, nad którego brzegami Wiktoria, jedna z najbardziej kwitnących kolonii angielskich, teraz wzrasta. Przy tym osadził, że Van Diemen Land jest częścią Australii, a morze przedzielające tę wyspę, odnogą.

5) Daniel Defoe, pisarz angielski (1660 — 1731), autor „Robinsona Crusoe“.

6) tj. Australię.

7) Towarzystwo Królewskie — angielskie towarzystwo naukowe w Londynie, zał. w 1645 r.

Wybrał tedy Cook miejsce do założenia kolonii i oznajmił o tym rządowi angielskiemu, dla którego ta wiadomość była pożądaną, bo po zakończeniu wojny amerykańskiej już skazańców do Ameryki wysłać nie mógł.⁸⁾ Więzienia spełnione stały się kłopotem, więc nowe miejsce, dokądby skazanych wywozić można, było bardzo dogodne.



„Przyjemnie zajęła ich żywa zieloność i różne przedmioty natury zupełnie odmiennej od tych, które w poprzedzających podróżach widzieli...”

XIV. HANDEL LUDŹMI

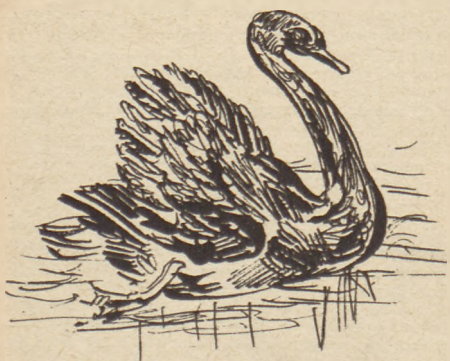
Początek i historia deportacji zanadto są ciekawe, bym je opuścił, o nich więc także wspomnę. Najdawniejszy ślad urzędowej kary wygnania datuje się z czasów królowej Elżbiety i odnosi się on do włóczęgów i oszustów. Akt ten Jakub I przemienił na prawo deportacji do Ameryki. W liście pisanym w 1619 roku do Rady Kolonialnej rozkazuje on, by posłała „stu hultajów“ do Wirginii. W tym samym roku, jako rodzaj równowagi, Rada posłała do tych „stu hultajów“ dziewięćdziesiąt ładnych dziewcząt, a potem w roku 1621 jeszcze sześćdziesiąt innych z przyzwoitym wychowaniem, młodych i ładnych panienek, jak kroniki twierdzą. Za każdą dziewczynę z pierwszego transportu posłano z Wirginii do Anglii po sto dwadzieścia funtów tytoniu. Za każdą z drugiego transportu — po sto pięćdziesiąt.

Za panowania Jakuba II wygnanie, czyli zrobienie z wygnańców prawdziwych niewolników, było ulubionym, a nawet dla niektórych korzystnym wymiarem kary. Dr. Lingard zmiankuje, że siedemdziesiąt osób z Salisbury, Penrudek i Grove po roku więzienia przesłano do Barbados, sztuka po 1550 funtów cukru, mniej lub więcej, według zdatności i siły. Miedzy nimi byli również księża, oficerowie i szlachta. Ci biedacy używani byli w deptaku⁹⁾, do palenia w piecach, do kopania na tych wyspach, gdzie słońce gorącym ognia pali, a przy tym sypiali w chlewach gorszych, niż w Anglii świnie.

8) Do czasu uzyskania niezależności przez stany amerykańskie, Ameryka była brytyjską kolonią karną, do której zsyłano przestępców.

9) Deptak — mechanizm poruszany ciężarem ludzi albo zwierząt, drepających po tarczy obrotowej, używany niegdyś jako źródło energii np. do nawadniania pól.

Balszy ciąg nastąpi



ny, dużo ptactwa wodnego i dwa czarne łabędzie. Krzewy i ptactwo tak niezwykajne, że w nich poznajemy piątą część ziemi.

W godzinę stajemy już w samym mieście; przymocowują okręty, a my

SZALEŃSTWO KRÓLA TALALA



Król Talal nie ma humoru i nie może nas to dziwić.

FANTASTYCZNA historia, w której występuje jeden król, jedna królowa, jeden lekarz angielski i wiele innych osobistości działających za kulisami, rozpoczęła się dokładnie 6 czerwca ubiegłego roku, o godzinie 10,30 rano. Tego to dnia przez jeden z największych i najbardziej komfortowych hoteli Lozanny zjechała karawana eleganckich samochodów amerykańskich. Przed budynkiem ustawił się natychmiast tłum gapiów i, trzeba przyznać, miał się na co patrzeć. Z pierwszego bowiem samochodu wysiadł młody człowiek o orlim nosie i czarnych wąsach, ubrany w strój arabski z oryginalnym nakryciem głowy, nazywanym na Środkowym Wschodzie „kefija”. Za

nim z innych aut wyszli towarzysze tego interesującego turysty, wszyscy ubrani również w arabskie stroje.

Nie będziemy utrzymywać Czytelników dłużej w niepewności i zdradzimy od razu o kogo tu chodzi. „Jego wysokość”, który tyle zainteresowania wzbudził w Lozannie — to król Jordanii — Talal.

NIEOCZEKIWANA WIADOMOŚĆ

Gdy Talal pewnym krokiem wchodził do hallu hotelowego, zatrzymał go na chwilę dyrektor i szepnął coś do ucha. Król po prostu skamieniał. Wścibscy dziennikarze amerykańscy zauważyli, jak przez jego twarz przebiegł płomień gniewu, a ręka chwyciła za sztylet. Wiadomość była istotnie „wstrząsająca” — okazało się, że królowa Zeina, dowiedziawszy się o przybyciu króla uciekła wraz z synem w nieznanym kierunku.

Król Talal nie tracił czasu. Zebrał swych współpracowników i rozpoczął poszukiwania po całej Europie. Sam pojechał autem nad granicę francuską, by wysłuchiwać, czy królowa nie udała się do Francji. Jeden z jego doradców polecił samolotem do Rzymu i Florencji, dokąd podobno również prowadziły ślady. Wszystkie poszukiwania nie dały jednak żadnego rezultatu: królowa jakby zapadła się pod ziemię.

Ale jak w każdej tragifarsie — tak i tu rozwiązanie szybko się znalazło. Okazało się, że królowa Zeina nie wyjechała w ogóle ze Szwajcarii, ale wraz ze swym synem i towarzyszącymi jej pannami zasyłała się w małym szwajcarskim miasteczku, gdzie zamieszkała pod przybranym nazwiskiem. Odkryto ją tam szybko, ale gdy poproszono o podanie powodów nagłej ucieczki — sprawa nabrała jeszcze bardziej sensacyjnego charakteru.

Królowa Zeina oświadczyła mianowicie, że uciekła od męża, obawiając się jego „piekielnego gniewu”. Dla podkreślenia prawdziwości swego sądu powołała się przy tym na świadectwo lekarza nadwornego, Anglika, dr Forda-Robertsona, który stwierdził, że Talal cierpi na schizofrenię.

Oświadczenia te były co najmniej dziwne, jeżeli nie całkiem podejrzane. Ze wszystkich bowiem wypowiedzi ludzi, którzy rozmawiali z Talalem, wynikało, że król cieszy się pełnią władz umysłowych.

MECZ ROZPOCZYNA SIĘ

Aby pojąć wszystko — musimy przenieść się na chwilę do stolicy Jordanii — Ammanu. Zobaczymy tam, że Jordania jest całkowicie opanowana przez Anglików. Zobaczymy, że w koszarach znajduje się wojsko umundurowane i wyekwipowane przez Brytyjczyków, wojsko, na którego czele stoi jeden z najgłośniejszych przedstawicieli wywiadu angielskiego — Glubb Pasza.

Król Abdullah, ojciec Talala, w pełni pasował do tego obrazu. Uzależniony całkowicie od Wielkiej Brytanii, oddany jej duszą i ciałem — stanowił on poważne oparcie polityki brytyjskiej na Środkowym Wschodzie. I wszystko byłoby dobrze, sielanka anglo-jordańska trwałaby bez przeszkód, gdyby nie najlepszy „przyjaciele” i „sojusznicy” Wielkiej Brytanii — Amerykanie.

„Przyjaciele” ci od dawna łakomym wzrokiem patrzyli na pozycję Brytyjczyków na Środkowym Wschodzie, obliczając korzyści jakie płyną z bogatych źródeł naftowych z myślą również o pozycjach strategicznych. Szykowali więc kontrofensywę przeciwko brytyjskim sojusznikom. Pierwszy akt tej kontrofensywy był bardzo głośny — w przenośnym i dosłownym znaczeniu tego słowa.

W czasie pobytu w Jerozolimie, król Abdullah, wychodząc ze świątyni — został zamordowany strzałem z rewolweru. Było publiczną tajemnicą, że zabójcą naskłany został przez wywiad amerykański.

Amerykanie dopięli swego. Na tronie zasiadł król Talal, który od dawna był marionetką amerykańską i który los swojego kraju postanowił złączyć (a raczej skuć) ze Stanami Zjednoczonymi.

Ale wywiad angielski, który dostał tak bolesnego prztyczka w nos, nie dał za wygraną. Za namową „Colonial Office” i lekarza Talala — wspomnianego tu już Robertsona, żona władcy, która do tej pory znajduje się pod angielskimi wpływami, zaaranżowała ucieczkę, dając do zrozumienia, że męża jej ogarnęło szaleństwo. Przed wykonaniem swego zamiaru Zeina odbyła dłuższą rozmowę z radcą poselstwa angielskiego w Genewie — Edwardem Lambertem.

Równocześnie do Szwajcarii przybył brat Talala, jego polityczny rywal i kukielka angielska — książę Naif. Przy pomocy księcia Naifa Angliki podjęli nową desperacką próbę realizacji swego odwiecznego zamiaru: połączenia Jordanii, Syrii i Iraku w jedno wielkie państwo arabskie, które byłoby podporą panowania brytyjskiego na Środkowym Wschodzie.

Ale jak to zwykle bywa w walce między panem a satelitą — pan zwycięża, brutalnie depcząc interesy swego słabszego partnera. Ze wszystkich doniesień prasowych wynika, że wysiłki Anglików zakończyły się fiaskiem. Agencja „Associated Press” podała 21 czerwca, że król Talal ma powrócić w najbliższym czasie do stolicy swego kraju — Ammanu. Choć tego agencja nie doniosła — jasne jest, że powrót Talala oznacza zwycięstwo amerykańskiej koncepcji i amerykańskich wpływów. Mecz między dwoma imperiałistami, mecz, którego ostatnia runda zaczęła się przed hotelem w Lozannie, zakończył się zwycięstwem Wall Street nad City. Był on jeszcze jednym dowodem głębokich sprzeczności w łonie państw imperialistycznych, które targają „zachodnim światem”.

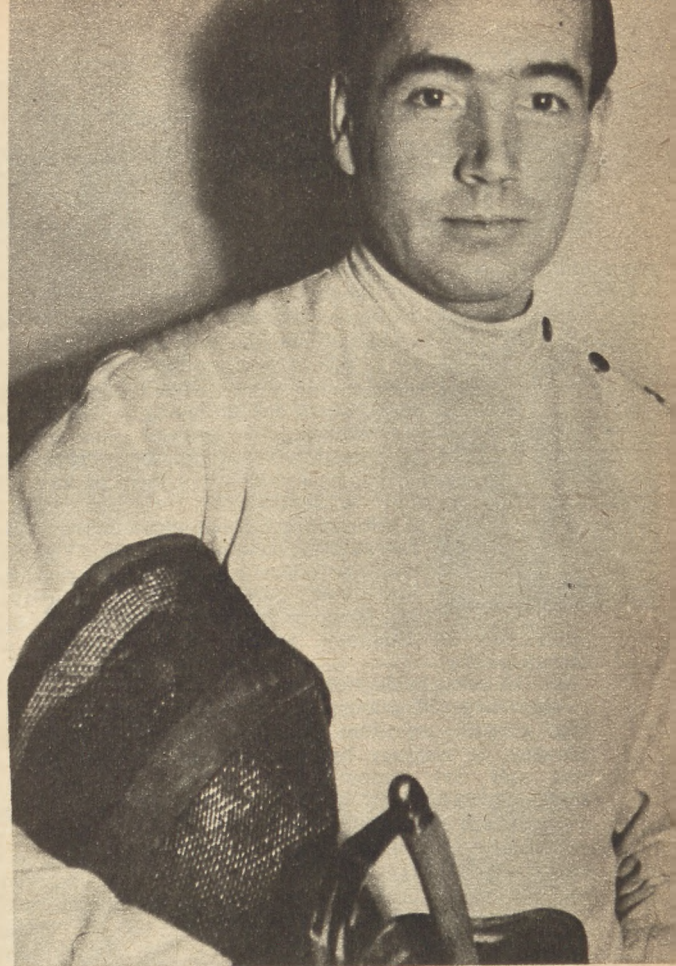
ZYGMUNT BRONIAREK



Królowa Zeina, która uciekła od swego męża — Talala.



Zamordowany przez agenta amerykańskiego b. król Jordanii Abdullah, w towarzystwie Glubb Paszy, dowódcy Legionu Arabskiego, faktycznego władcy Jordanii



JAK

PRZYGOTOWUJĘ SIĘ
NA OLIMPIADĘ

PAL KOVACS
wicemistrz świata w szabli

Budapeszt w lipcu

WŁAŚCIWIE na Olimpiadę w Helsinkach — podobnie jak moi koledzy szermierze — przygotowuję się już od kilku lat. Od jesieni ubiegłego roku przeprowadzam systematyczne treningi. Trzy, cztery razy w tygodniu ćwiczyłem w kadrze olimpijskiej razem z moimi kolegami zaraz po ukończeniu codziennej pracy w Państwowej Fabryce Waggonów „Ganz”.

Nasza wycieczka do Związku Radzieckiego uzupełniła owe cztery treningi w ciągu tygodnia, mogliśmy bowiem w ZSRR trenować razem z radzieckimi zawodnikami. Toteż wróciłem w doskonałej formie, wzbogacony nowymi doświadczeniami. Po powrocie ze wzmocnionym wysiłkiem kontynuowałem nasze przygotowania do następnych międzynarodowych spotkań, a tym samym, dzięki tym spotkaniom, przygotowaliśmy się na Olimpiadę. Ponieważ Olimpiada wypadnie na koniec lipca, a jest to na ogół martwy sezon dla węgierskich szermierzy, przeto na podstawie doświadczeń ostatnich lat oraz na podstawie radzieckich badań naukowych, postaramy się swoją najlepszą formę z kwietnia, względnie z maja przesunąć na lipiec.

Począwszy od kwietnia braliśmy udział w treningach kondycyjnych. Treningi te odbywały się we wczesnych godzinach rannych na orzeźwiającej powietrzu wyspy Małgorzaty i składały się z ćwiczeń gimnastycznych, biegów i pływania.

Wreszcie przyszła kolej na ostatnie przygotowania. Wyjechaliśmy na obóz treningowy w miejscowości Tata, gdzie oczywiście w jeszcze większej mierze znaleźliśmy wszelkie warunki i sprzęt, aby jak najlepiej przygotować się do igrzysk.

Treningi w Tata różnią się do pewnego stopnia od naszych zwykłych treningów. Zaczynamy o świcie ćwiczeniami kondycyjnymi, po śniadaniu zaś następuje trening według specjałności. Stosownie do planu ćwiczeć codziennie z moim trenerem, potem odbywam kilka lekkich spotkań z kolegami. Raz w tygodniu mamy w swoim programie spotkania szermierze ostrego typu, których poziom jest równy poziomowi na zawodach.

W sezonie zawodów należy zajmować się takimi galeziami sportu, które naszą specjalizację szermierczą wnoszą na wyższy poziom. Przede wszystkim więc prowadzimy lekkie gry piłką. Gry te w wielkiej mierze przyczyniają się do uzupełnienia spostrzegawczości i szybkiej orientacji, poza tym odbywamy po pięknej okolicy górskiej wycieczki, które rozwijają płuca i wzmocniają odporność.

Olimpiada będzie wielką próbą sił. W Helsinkach spotkamy Włochów — najpoważniejszych naszych rywali. Poza tym należy także brać pod uwagę szermierzy Belgii i Francji. Francuzi są szczególnie silni we florecie. Niebezpieczni również będą młodzi szabliści polscy. Zdajemy więc sobie sprawę z trudności, jakie nas czekają, lecz bierzemy udział w zawodach w pełnej świadomości wytyczonego celu. Wszelkimi siłami, maksymalną koncentracją naszej siły woli, dalszym rozwijaniem naszych zdolności uczynimy wszystko, by nie sprawić zawodu, by osiągnąć jak najlepsze wyniki.

W Helsinkach uczynimy wszystko, by zapewnić sobie zwycięstwo, wiemy przecież, że i w ten sposób służymy sprawie pokoju.

ŻYCIORYS WŁASNY



OJCIEC mój pochodził z Bałchu. Za czasów Nuha, syna Mansura, z ojczyzny swej do Buchary przyjeżdża i wstępuje do służby w diwanie¹⁾. Zostaje mianowany naczelnikiem okręgu Charmajtan w okolicach Buchary. Z Afszany, jednej z pobliskich wsi, matkę moją Setarę bierze za żonę i tam właśnie, z początku ja, a później brat, urodziliśmy się. Wkrótce potem prze-

jechaliśmy do Buchary, żeby tam pobierać naukę.

Do 10 roku życia opanowałem Koran i literaturę. W zdobywaniu nauki do tego stopnia czyniłem szybkie i dobre postępy, że wszyscy byli zdumieni. Ojciec mój był zwolennikiem Ismaelitów²⁾. Bywało, że z bratem rozmawiał o poglądach wiary Ismaelitów na sprawy duszy i rozumu. Przysłuchiwałem się, rozmyślałem, ale to co mówili nie trafiało mi do przekonania. Jakkolwiek namawiali mnie do przyjęcia ich wyznania, nie nie wskórali, aż stracili nadzieję.

Czasami też ojciec wymieniał nazwisko z dziedziny filozofii lub geometrii. Mówił też coś niecoś o matematyce. Posłał mnie do handlarza warzyw, żebym się u niego nauczył arytmetyki. W ciągu krótkiego czasu nauczyłem się. Przybył wtedy do Buchary Abu Abdullah Natili, który słynął ze znajomości filozofii. Ojciec mój przyjął go do naszego domu w nadziei, że nauczy mnie coś niecoś z tej dziedziny. Jeszcze przed tym chodziłem na naukę do Ismaila Zahida i nabyłem u niego dużej wprawy w dysputach nad zagadnieniami prawa muzułmańskiego.

Z Natilim zacząłem studiowanie „Isagogi”³⁾. Tak wielkie czyniłem postępy, że Natili był zdumiony moją wiedzą i ciągle tego się tylko bał, że ojciec przerwie mi naukę i pośle do innej pracy. Dlatego też nieustannie go namawiał, żeby od nauki mnie nie odsuwał. Jakikolwiek by zagadnienie mistrz nie wysuwał do omówienia, lepiej od niego wnikałem w istotę problemu. Gdy nauczyłem się od niego ogólnych zasad logiki, której gruntownie nie znał, sam przystąpiłem do studiowania ksiąg logiki i samodzielnie doszedłem do gruntownego jej opanowania, stając się równie w tej dziedzinie nauki mocnym i pewnym siebie.

Nauczyłem się również od niego pięciu czy sześciu twierdzeń geometrii euklidesowskiej, resztę zaś sam opanowałem i pomyślnie pokonywałem napotykaną w tej dziedzinie trudność. Później przystąpiłem do studiowania księgi „Almageste”⁴⁾. Gdy przeszliśmy początki tego dzieła i dotarliśmy do figur geometrycznych, Natili zrezygnował z dalszego uczenia mnie i rzekł: Ucz się sam i zadania sam rozwiązuj. Do mnie zaś przychodzi z wynikami czy są trafne, czy nie.

Zająłem się wtedy na własną rękę studiowaniem tego dzieła i przedstawiałem rozwiązania mistrzowi. Wynikiem tego było jednak usunięcie trudności, które same mu się naszczyły. Dużo rozwiązań, których do tego czasu nie znał, ode mnie się nauczył. Następnie Natili udał się z Buchary do Gurgandzu.

Przystąpiłem tedy do studiowania medycyny i zająłem się czytaniem dzieł medycznych. Ponieważ medycyna bardzo trudna nie była, w krótkim czasie doszedłem do takiego stopnia umiejętności w tej dziedzinie, że wielu ówczesnych lekarzy przychodziło do mnie uczyć się lecznictwa. Ja zaś zająłem się również praktyką lekarską. Nie do opisania jest, jak szeroko otworzyły się przede mną wrota sztuki leczniczej.

Równocześnie zaś nie zaniedbałem nauki prawa muzułmańskiego, a miałem wtedy 16 lat. Poświęciłem znowu półto-

ra roku studiom, zająłem się ponownie logiką i innymi dyscyplinami filozoficznymi. Przez ten cały czas w nocy nie spałem, a w dzień nie odpoczywałem. Niczym innym zaś poza nauką nie zajmowałem się. Gdy nie mogłem rozwiązać jakiegoś zagadnienia udawałem się do meczetu, modliłem się, ręce do niebios wznosiłem i czołem uderzałem o ziemię, prosząc Boga by otworzył przede mną zamknięte wrota i uczynił lekkim to, co było dla mnie ciężkie.

Wieczorem zaś wracałem do domu i przystępowałem do czytania i pisania. Gdy zaś opanowywała mnie senność lub też czułem, że słabną, zgodnie z medycyną wypijałem szlachetne wino, by umysł ocucić i przywrócić siły ciała, po czym znowu wracałem do czytania i pisania. A gdy niekiedy zasypiałem na krótko, we śnie ukazywały mi się interesujące zagadnienia naukowe i często bywało, że właśnie wówczas unosiła się zasłona, która zakrywała trudne zagadnienie i udawało mi się je rozwiązać. W takim stanie żyłem dopóki nie umocniłem swojej wiedzy i nieznane mi tajemnice nie rozjaśniły się przede mną.

Przystąpiłem wtedy do studiowania księgi „Metafizyki”⁵⁾. Czytałem tę książkę 40 razy od początku do końca, tak, że nauczyłem się jej na pamięć. Mimo to nic nie rozumiałem i straciłem nadzieję zrozumienia jej. Powiedziałem sobie, że tej książki nie można zrozumieć. Aż pewnego dnia przeszedłem się przez bazar sprzedawców książek. Sprzedawca głośno wykrzykując zaproponował mi kupno książki, którą mi pokazał.

Zniechęcony odmówiłem, mówiąc sobie: nie ma pożytku z nauki, której nie można zrozumieć. Sprzedawca jednak nalegał: kup tę książkę, tania jest, a właściciel jest w potrzebie pieniędzy. Kupiłem ją za 3 derhamy.

Zobaczyłem, że to jest książka Abi Nasr Farabiego „Cele Metafizyki”. Pośpieszyłem do domu i przystąpiłem do jej czytania. Otworzyły się przede mną wrota do zrozumienia tej księgi, a wszystkie trudności znikły. Bardzo z tego powodu ucieszyłem się i następnego dnia dla uczczenia wielkiego wydarzenia rozdzieliłem wśród biedaków szczerą jałmużnę.

W tym czasie ciężko zachorował Nuh, syn Mansura. Lekarze nie potrafili go wyleczyć i choroba przeciągała się. Ja słyszałem wśród lekarzy z dużej wiedzy. Wymienili moje imię sułtanowi i zapropowowali, żeby mnie sprowadził. Przyszedłem i wspólnie z nimi zająłem się leczeniem sułtana, dopóki nie wyzdrowiał. Zająłem następnie przy sułtanie zaszczytne stanowisko. Pewnego dnia poprosił mnie go, żeby pozwoili mi uczęszczać do biblioteki sułtańskiej i studiować tam księgi medyczne.

Gdy wszedłem do pałacu bibliotecznego, stwierdziłem że składa się on z wielu sal, a w każdej sali były skrzynie pełne książek. Jedną z sal była wydzielona dla książek arabskich i poezji, druga dla ksiąg teologicznych. Były również oddzielne sale dla poszczególnych dziedzin nauki. Przeczytałem spis książek starożytnych autorów i zażądałem tych, które były mi potrzebne. Widziałem tam i czytałem różnorodne księgi, których nazw nawet nikt nie słyszał i których ja również do tego czasu nie widziałem... Tymczasem zmarł mój ojciec, sytuacja moja się zmieniła i zmuszony byłem przyjąć stanowisko w diwanie. Wkrótce potem zmuszony byłem opuścić Bucharę i udać się do Gurgandzu.

Tłumaczył z perskiego
EDMUND BORA

5) Arystotelesa.

OD TŁUMACZA:

Avicenna opuścił Bucharę mając w przybliżeniu 22 lata. Życiorys swego sam nie pisał, ale dyktował swemu uczniowi i sekretarzowi Abu Ubejdowi Dżuzdzanemu, z którym spotkał się 8 lat później w Gurganie. Całość autobiografii, a właściwie zanotowanych przez Dżuzdzanę informacji autobiograficznych mistrza obejmuje okres do 32 roku życia Avicenny. Dżuzdzanemu zawdzięczamy nie tylko przekazanie nam tych informacji, ale również opis dalszych kolei życia wielkiego bucharczyka do chwili jego śmierci.



1 — Mały Kozi Wierch. 2 — Zawrat. 3 — Zawratowa Turnia. x — Miejsce wypadku. — — Droga którą szła wycieczka ...Tę drogą Pogotowie sprowadziło ofiary wypadku.

T.O.P.R. RATUJE

TEGO dnia miałem dyżur nocny na Głównej Stacji Ratunkowej. Przez sen ledwie usłyszałem dzwonek telefonu. Zrywam się, chwytam słuchawkę. Dzwoni z Roztoki kierownik schroniska na Hali Gąsienicowej: 8 osób utknęło w ścianie Koziego Wierchu. Z powodu ciemności i gęstej mgły dojście jest niemożliwe.

Przyjmuję meldunek, zawiadamiam kierownika Pogotowia o wypadku i otrzymuję instrukcje: wziąć czterech ludzi i natychmiast wyruszyć.

Do Kuźnic dojeżdżamy motorem, dalej piechotą. Idziemy szybko. W schronisku na Hali Gąsienicowej dołącza się do nas Józef Kunc, pracownik schroniska. Zabieramy stąd jeszcze „bambus” (nosze do znoszenia rannych w terenie górskim) i po krótkim postoju ruszamy.

Robi się coraz widniej. Jesteśmy nad Czarnym Stawem. Nie zatrzymując się ciągniemy dalej.

Podejście do Zmarzłego Stawu jest nużące. Krótki przystanek. Lornetujemy okolice i spostrzegamy, że wysoko coś się porusza. Bez wątpienia — człowiek. Oni!!!

Natychmiast ruszamy. Cały czas idziemy już po zamrzniętym na kość śniegu. Żlebem „Starego Zawratu” wydostajemy się pod przełęcz i robiąc czekaniem stopnie trawersujemy w lewo.

Idąc, wołamy ciągle... Nagle zza grzędy odpowiada chór głosów: Hallooo... tu jesteśmy...

Siedzieli na platformie, wykopanej w śniegu. Osiem osób, w tym cztery kobiety. Jest godzina 5 rano, 13 czerwca. Pytania i odpowiedzi krzyżują się ze sobą: jak się czują, czy ktoś nie zasłabł, czy nie ma odmrożeń. Na szczęście wszyscy zdrowi.

A teraz jak najszybciej z powrotem,

jak najszybciej się stąd wydostać. Po krótkim przygotowaniu jesteśmy gotowi do transportu.

Wiążemy po jednej osobie na linę i asekurowani z góry, spuszczaemy ich ostrożnie do żlebu. Tam odbiera ich Staszek Wawrytko, a Heniek Wojaś transportuje ich dalej żlebem na dół, do Józefa Kunca, który, wyrąbawszy w śniegu platformę, przyjmuje cały „transport”.

Nareszcie koniec — jesteśmy wszyscy, cali i zdrowi, nad Zmarzłym Stawem. Odpoczywamy.

Po chwili milczenia zadaje kierownikowi wycieczki, Borejce z Gliwic, dwa pytania: — Dlaczego nie wzięliście przewodnika z P.T.K.? Dlaczego mimo nieodpowiedniego obuwia u wszystkich uczestników wycieczki i braku ekwipunku turystycznego, jak liny, czekany, haki, zdecydowaliście się iść przez Zawrat?

— Nie wzięliśmy przewodnika — odpowiada Borejko — gdyż większość z nas to doświadczeni turyści i przez Zawrat niektórzy już przechodzili. Owszem, widzieliśmy od Zmarzłego Stawu, że tak duża ilość śniegu będzie poważną przeszkodą, ale myśleliśmy, że nam się uda przejść...

...Uda się przejść!

Jest to typowy przykład lekkomyślnego traktowania wycieczek tego typu, a turystyki wysokogórskiej szczególnie. Wybrano się bez odpowiedniego przewodnika, bez zasadniczego ekwipunku, ot tak, jakby chodziło o niedzielną wycieczkę. To jest przestroga dla tych wszystkich lekkomyślnych „zdobywców” szczytów. Tym razem skończyło się to szczęśliwie.

EUGENIUSZ STRZEBOŃSKI
Zakopane

Zdjęcia:
S. Zwoliński, R. Wawro i T. Pawłowski.



Ostatnie metry męczącej wspinaczki przed dojściem do miejsca wypadku.



Wracając wstąpiliśmy w Jaworzynce do góralskiego szalasu na „żytnycę”.

1) Do służby rządowej.
2) Heretycka sekta muzułmańska o zabarwieniu pitejskim.
3) Wstęp do „Kategorii Arystotelesa” napisany przez syryjskiego filozofa Porfiriusza (232 — 304).
4) Starożytnego uczonego Ptolomeusza.

PSTRĄGI

Kiedy jętka pokaże się nad górskimi potokami, rozpoczynają się wielkie łowy. Z powodzią wiosenną spłynęły już od dawna śniegi, lód krami uciekł ku morzu, z głębokiej toni wychodzi pstrąg. Płynie na płytsze bystrzyny, czyści się, nabiera sił. Wtedy na brzegach rzek, wartko skaczących po kamieniach, pojawiają się dziwni ludzie. W wysokich butach gumowych na nogach, niosą tyczki, długie, cienkie i wiotkie. Pstrąg to najszlachetniejsza z ryb. Ciemnooliwkowy, złocisty i nakrapiany różnobarwnymi centkami, ma mocną, pełną harmonii budowę ciała. Błyszczący w wodzie opalizującym lśnieniem, jakby nie łuską, ale migotaniem drogich kamieni. Ze wszystkich ryb jest najurodziwszy i zwinność ma niezwykłą.

„Pstragarz” to najszlachetniejszy z rybaków. Jest wytrwały, opanowany, uważny. Jest małowówny i rozumujący logicznie. Ze wszystkich sportowców najwięcej ma cierpliwości i bliskie jego sercu jest piękno natury.

Pstrągi i wędkarze zmagają się ze sobą przez całe lato.

Aż na posrebrzanych blaskiem księżyca stokach gór odezwie się ryk, ryk pierwszego w tym roku jelenia.

Wtedy „pstragarz” zwijsza swe kołowrotki i odchodzi. A pstrąg chowa się w głębinę.

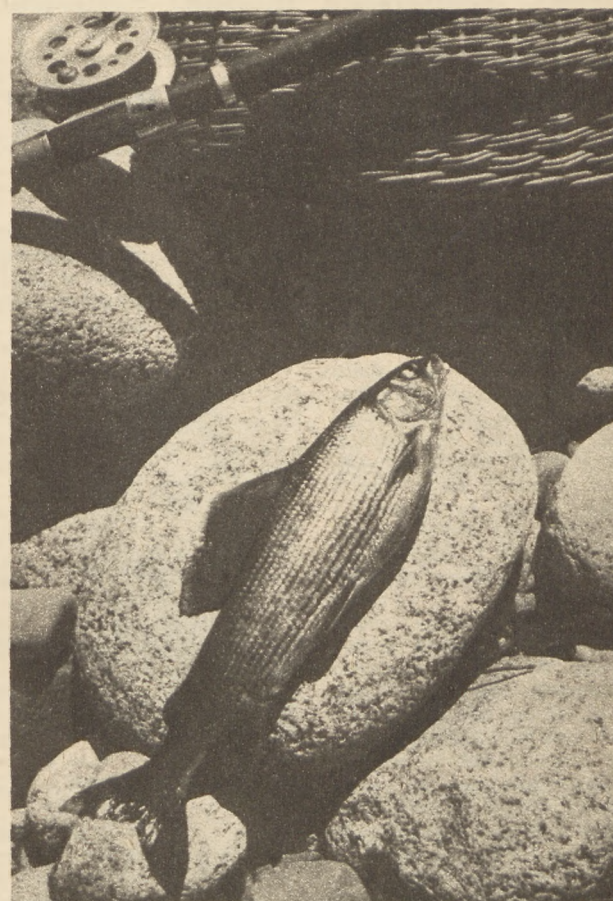
Wielkie łowy skończone. Aż dopóki znowu nie ukażą się jętka nad górskimi potokami.



Trzeba umieć utrzymać w bystrej wodzie równowagę brodząc po śliskich kamieniach, kiedy wodzi się za sobą schwytanego pstrąga tak długo, póki się ten nie zmęczy. Wtedy wyciągany z fal nie złamie wędki.



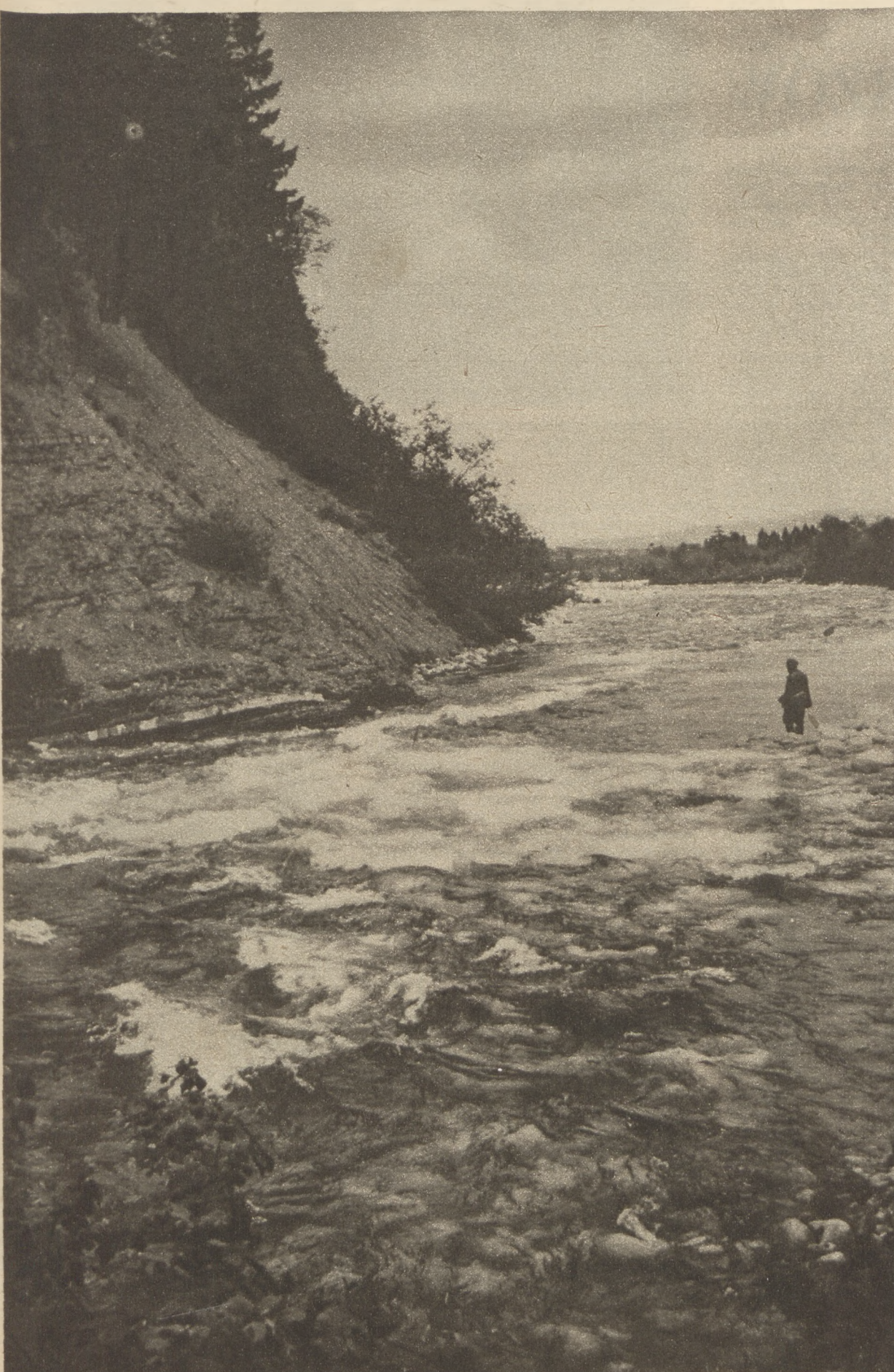
Trzeba umieć wyszukać dobre łowisko, najlepiej tam, gdzie wykroty i jamy przybrzeżne, gdzie wirują strzępy piany. Albo przy załamaniach prądu koło pali mostowych, koło śluz i wodospadów.



A potem siostrzeniec w domu zawoła radośnie: „Wujek kupił rybę”. Gdyby nie fotografia, nie uwierzyłby, że ryba, słowo honoru, została naprawdę złowiona.



Na szczęście jest świadek. Przyszedł zapytać, która godzina. Ale właściwie, chciał wiedzieć „jak pstrąg bierze”.



Trzeba umieć dobrać sztuczną muszkę. Wiosną lepsza ciemniejsza, latem jaśniejsza i zawsze podobna do tych żywych, co właśnie tego dnia latają nad wodą. Inaczej pstrąg na pewno nie weźmie.



Wielokrotna rekordzistka, mistrzyni Polski i olimpijka. — Wajsówna w otoczeniu młodych, utalentowanych dyskobolek: Pytłasińskiej, Sankowskiej i Benko.

REZERWA MISTRZÓW

MARYSIA SERKIZ ma 16 lat. W hufcu Służby Polsce poznała się ze sportem. Podobał się sport Marysi, stała się jego gorącą zwolenniczką.

Na V Ogólnopolskich Mistrzostwach Sportowo - Strzeleckich Służby Polsce Marysia Serkiz wzbudziła podziw wszystkich. Uzyskała wyniki do jakich zazwyczaj dochodzi się ciężką, długą pracą. Młoda junaczka ma talent; teraz trzeba tylko pracy sumiennej i niedługo już może stanie zielonogórska dziewczyna wśród najlepszych polskich lekkoatletek.

Wyniki uzyskane przez Marysię są istotnie godne uwagi. W rzucie granatem ustanowiła rekord Polski. 41 m. 42 cm. nie każdy potrafi rzucić. Marysia skacze również dobrze w dal. I najważniejsze, że stale poprawia swe wyniki. Kiedyś z trudem osiągnęła odległość 4.50, potem skoczyła „aż” 4.97, a obecnie zupełnie łatwo ląduje w granicach 5.15. A to już jest niezły wynik! Zwłaszcza gdy się ma 16 lat.

Albo kula. Kulę wzięła do ręki po raz pierwszy w życiu przed paru tygodniami i od razu rzuciła 11 metrów.



Radziwnowicz rzuca oszczepem coraz lepiej.

Marysia Serkiz jest jedną z ogromnej masy utalentowanych młodych sportowców. Jest jedną z tych, którzy już wkrótce zastąpią dzisiejszych mistrzów i pobiją ich „na głowę”.

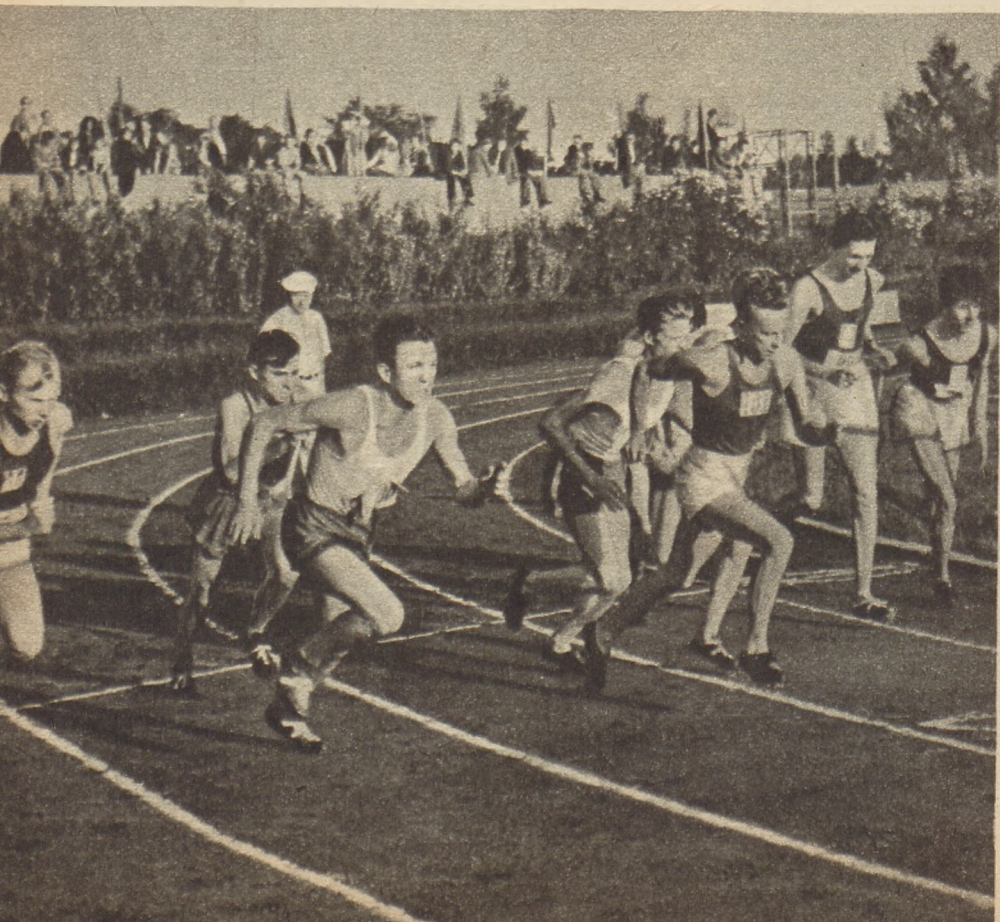
Jej koleżanka z zielonogórskiego hufca — Witter, również niedawno uprawia sport a już uzyskała w biegu na 500 metrów wynik 1:24,1, co dało jej I klasę państwową.

Żbikowski, Radziwnowicz, Laskowska, Kurzawa, Zembska to nazwiska, o których już niedługo będziemy mówić tak, jak dziś o Potrzebowskim, Kiszce, Graju, Ilwicznej czy Duńskiej.

A propos Duńskiej. Ta dziewczyna jest juniorką a uzyskała w skoku w dal wynik 6.83, który stawia ją na 7 miejscu wśród najlepszych na świecie.

Lekkoatletyka rośnie. Rosną rezerwy przyszłych mistrzów i rekordzistów. Na szczęście lekkoatleci nie są osamotnieni. We wszystkich niemal dyscyplinach sportu młodzież poważnie „zagroza” doświadczonym zawodnikom. Ba, są takie z których zupełnie wyparła starszych, jak np. szermierka. Tu widzieliśmy daw-

Start do biegu na 1500 m, w którym czterech zawodników pobiło 20-letni polski rekord Kusocińskiego. Długoborski i Żbikowski zajęli miejsca wśród najlepszych.



Zaczynamy wcześniej zaznajamiać się ze sportem, aby w przyszłości godnie zastąpić naszych mistrzów na bieżniach, kortach i boiskach, na wodzie, lądzie i w powietrzu

niej starszych już panów, dziś na pian-szach stają młodzi chłopcy — nie rzadko juniorzy. Żbicki, Pawłowski, Twardokens, Paliga to już nie rezerwa mistrzów, to mistrzowie.

Bokserzy, wioślarze, koszykarze, piłkarze, kolarze odmładzają swe kadry, zwyciężają talentem i młodzieńczym entuzjazmem. Od ich zapału i sumienności, od umiejętnej pracy trenerów zależy teraz czy rozwijać będą racjonalnie swe talenty, czy pójdą naprzód.

Młodzież polska jest pełna wiary w swe siły i możliwości, młodzież polska wie, że Państwo Ludowe nie szczędzi wysiłku, aby zapewnić jej najlepsze warunki i opiekę. I nie zawiedzie ona zaufania jakie w niej pokładamy. Już wkrótce, na Zlocie Młodych Przedowników — Budowniczych Polski Ludowej zobaczy Warszawa swe najlepsze dzieci. Wśród nich — najlepszych sportowców, którzy z powodzeniem stają dziś do współzawodnictwa z mistrzami.

STANISŁAW PIOTROWSKI

Fot.: Rostkowski, Franckowiak i Ignor



Młodziutka rekordzistka Polski na 60 m, Laskowska, jest utalentowaną biegaczką.



Ci młodzi piłkarze będą następcami Cieślaków, Suszczyków, Szymkowiaków.

SZEKSPIR HANDLUJE PAPIEROSAMI

Czytelnicy nasi przypominają sobie zapewne reklamy amerykańskie, w których Mona Liza sławiła zalety piwa Rheingolds, a Kopernik, Pułaski i Sienkiewicz zalecali wódkę Carstairs. Angielscy prze-

mysłowcy pozazdrościli widać pomysłowości swym amerykańskim kolegom, bo oto firma Wills tak ogłasza swe papierosy w miesięczniku brytyjskim „Liliput” (czerwiec 1952 rok):



„Jakość — brytyjską tradycją

Gdy Szekspir napisał swe nieśmiertelne dzieła, literatura angielska wzbogaciła się nagle. Geniusz jego będzie przemawiał do wielu następnych pokoleń przy wielu okazjach. W kraju obfitującym w wielkich pisarzy on był największym ze wszystkich. Gleba, która wydała wielkiego barda, wydała też inne talenty w innych dziedzinach. Tu także ja-

kość była czynnikiem, według którego osądzano rzeczy. Dziś w sztuce, nauce, przemyśle wciąż żywy jest ten sam ideał jakości. Tym samym wysokim standardem kieruje się wciąż publiczność wyrażając swą aprobatę z właszą gęstością o papierosy WILLS'a Gold Flake.

Chyba jednak wszystko to jest raczej w tradycji amerykańskiej niż brytyjskiej.

GENTLEMEN

Reakcyjny tygodnik amerykański „Time” popełnił w jednym z ostatnich numerów ciężki błąd polityczny. Pisząc o siedmiu hitlerowskich zbrodniarzach wojennych, odsiadujących w międzynarodowym więzieniu w Span-

dau wyrok Trybunału Norymberskiego, tygodnik użył — w bardzo zresztą przychylnym dla nich artykule — paru ostrzejszych słów. Już w tydzień później musiał to odpokutować, drukując następujące oświadczenie:



Więzienie w Spandau

„Ostro protestujemy przeciwko tonowi waszego artykułu z dnia 2 czerwca w sprawie niemieckich jeńców wojennych (sic!) w Spandau. Nazywanie tych ludzi „siedmiu najczarniejszymi, spośród pozostałych przy życiu, hitlerowcami” jest sprzeczne z faktami, obelżywe i może wpłynąć

ujemnie na przebieg akcji w ich obronie. Rudolf Hess przedsięwziął pozytywne kroki dla przywrócenia pokoju we wczesnym okresie II wojny światowej. Admirał Doenitz i admirał Raeder byli dzielnymi dowódcami floty wojennej. Baron von Neurath, Albert Speer, Walter Funk i Bal-

dur von Schirach byli oddanymi urzędnikami administracyjnymi. Wszyscy ci szlachetni mężowie (w oryginalne użyte słowo gentlemen) spełniali dobrze swe obowiązki, zgodnie z nakazami sumienia. Jedynym ich grzechem było to, że znaleźli się po stronie przegranej. Grupa wybitnych Amerykanów utworzyła Komitet dążący do oswobodzenia zarówno tych ludzi, jak i feldmarszałków Mannsteina, Lista, Kesselringa, generała Remera i wielu innych. — (Podpisany) M. Keith Thompson, Sekretarz Komitetu Sprawiedliwości Międzynarodowej i Komitetu Oswobodzenia gen. Remera. (Adres) Chatham, stan New Jersey, USA“.

Całe szczęście, że nadzór nad więzieniem w Span-

dau rozciąga także Związek Radziecki. Inaczej szacowny „Komitet Międzynarodowej Sprawiedliwości” wystarzałby się na pewno o zwolnienie także i tych siedmiu opryszków hitlerowskich (zwanych przezeń „jeńcami”). Toż to sami „gentlemani”, dorównujący co najmniej Ridgwayowi, Eisenhowerowi i Boatnerowi. Jakże można takich więźni? Toteż nie żyjemy najmniejszej wątpliwości, że pozostali pułkowie dobrośliwego komitetu — Mannstein, List, Kesselring i wszyscy w ogóle bandyci, znajdujący się w zasięgu wpływów amerykańskich, już wkrótce znajdą się nie tylko na wolności, ale obejmą w Trizonii wysokie stanowiska, odpowiadające ich zbrojeckim umiejętnościom.

ŻOŁNIERZ I UZURPATOR

W roku 1864 awanturniczy władca Francji, Napoleon III, zwany „Małym”, zapragnął osadzić na tronie meksykańskim swego protegowanego, arcyksięcia Maksymiliana Habsburga. Pretendent udał się do Meksyku pod osłoną bagnetów francuskiego korpusu ekspedycyjnego, ale prędko przekonał się

na miejscu, jak niebezpiecznie jest siedzieć na tronie z bagnetów. Lud meksykański pod wodzą Juareza chwycił za broń, zadał najeźdźcom szereg dotkliwych porażek, aż w roku 1867 habsburski uzurpator wpadł w ręce patriotów meksykańskich, został skazany na śmierć i stracony.



Scenę egzekucji Maksymiliana uwiecznił słynny malarz francuski, Manet, którego obraz reproduujemy powyżej. Obraz ten przechodził najrozmaitsze koleje. Policja francuska, ze względów politycznych, zabroniła wystawiania go. Potem uległ on uszkodzeniu, wreszcie został pocięty i sprzedany w kawałkach. Obecnie znajduje się w National Gallery w Londynie.

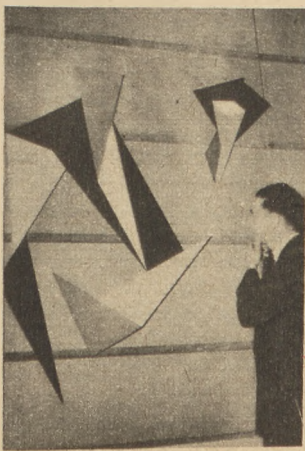
Plutonem egzekucyjnym, który wykonał wyrok na uzurpatora, dowodził sierżant Manuel de la Rosa (z prawej strony na obrazie Maneta). W ub. miesiącu sierżant Manuel de la Rosa — ostatni pozosta-

ły przy życiu weteran walk wolnościowych Meksyku przeciwko Maksymilianowi — obchodził sto jedenaście urodziny. W tym uroczystym dniu otrzymał od narodu meksykańskiego prezent urodzinowy w postaci własnego domku.



Manuel de la Rosa

SZTUKA MALARSKA NA ZACHODZIE



W Londynie otwarta została Wystawa malarstwa współczesnego. Wśród eksponatów znajduje się m. in. reprodukowany obok obraz pędzla Gordona Allena. Według oświadczenia autora i niektórych krytyków, ma to być jedno z najwyższych osiągnięć współczesnej sztuki zachodniej.

A, prawda, zapomnieliśmy podać tytuł obrazu. Wydaje nam się to zresztą zbyteczne, bo chyba każdy wie o co chodzi. Otóż obraz nosi tytuł „Matka i dziecko”. To takie oczywiste...

Drodzy Czytelnicy!

Nie czyniliśmy żadnego szczególnego święta z faktu, że ukazał się już 50 numer naszego tygodnika, bo to za skromny jubileusz i nie pora chyba jeszcze na ocenę osiągnięć w tym stosunkowo krótkim, jak na żywot tygodnika, okresie. Niemniej sprawiła nam żywe zadowolenie pamięć naszych Czytelników, którzy z okazji 50 numeru nadesłali Redakcji życzenia dalszego rozwoju i owocnej pracy. Pozwoliły więc sobie zacytować fragment listu ob. Jana Badury z Szopienic, który pisze m. in.:

„Kiedy się pierwsze numery „Swiata” ukazały, każdy był ciekaw, jakie też to nowe pismo będzie, no i posypały się też w pierwszym czasie — nawet na życzenie Redaktora — różne pretensje i życzenia co do wydawania pisma. Sądząc z odpowiedzi Redaktora, były i życzenia, ale także słuszne pretensje.

Przysłowie mówi: „Jeszcze się ten nie urodził, co by wszystkim dogodził”, jednak co do naszego „Swiata” przysłowie to nie ma znaczenia, bo pismo nasze może wszystkim dogodzić. Ja sam na początku zabierałem głos w sprawie lepszego, gładkiego papieru, żeby obrazki, fotografie czysto, wyraźnie odbijały. Pisałem jednak dalej, żeby „Swiat” opisywał rzeczy ciekawe, które inne pisma bardzo mało albo wcale nie opisują. Niech nowy „Swiat” będzie dla nas nauczycielem, drogowskiem objaśniającym nam stare dzieje, co było dobre, a co złe i jak mamy tego złego unikać, żeby stać się coraz lepszymi, energiczniejszymi szermierzami naszej nowo odrodzonej Ojczyzny. — W tym tygodniu wyjdzie nasz „Swiat” z numerem 50-tym, jubileuszowym. Z tej okazji składam Wydawnictwu, Redaktorom naszego miłego pisma najszczerze życzenia owocnej pracy dalszego redagowania i ulepszania „Swiata”, oby nasz „Jubilat” osiągnął jak największy rozkwit i zyskał przychylność swoich Czytelników“.

Niewątpliwie cieszy nas, że Czytelnicy „Swiata” nie skąpią w swych listach słów uznania i sympatii, co nas tym więcej obowiązuje do dalszego doskonalenia „Swiata”, ażeby był godny swego Czytelnika, tego właśnie Czytelnika, który w codziennym trudzie w mieście i na wsi, zbliża wykonanie Planu 6-letniego, zbliża socjalistyczne jutro naszej Ojczyzny.

O tym, jak nasze pismo ma wyglądać i czemu służyć, w dużej mierze decydują Czytelnicy, nadsyłając do redakcji listy i korespondencje. Ich praca, ich osiągnięcia i troski są wytyczną dla redakcji, oparciem dla reportaży i artykułów.

Dziękując raz jeszcze za „jubileuszowe” życzenia, wyrażamy przekonanie, że serdeczny i bliski kontakt nawiązany między Czytelnikami a „Swiatem” jeszcze bardziej się pogłębi i rozwinie.

„SWIAT”



Rys.: IBIS

Warszawa wita Złot



TANIO i ŁADNIE



Uff, jak gorąco!.. A tak narzekaliśmy. Kto może, niech pakuje walizki i wyjeżdża na urlop! Nad morze, na Jeziora Mazurskie — czy nad jakąkolwiek inną wodę. Chociaż nad

wodą (wydawałoby się) strój jest prawie zbędny, kobieta wie, że jest inaczej. Dlatego też czujemy się w obowiązku ułatwić kobietom rozwiązanie tego — bądź co bądź — poważnego problemu: w co się ubrać nad wyżej wspomnianą „jakąkolwiek wodę“.

Pierwszy model u góry, to szorty ze staniczkiem. Najlepiej uszyć je z płótna lnianego, bo, jak wiadomo, jest najchłodniejsze — ale oczywiście mogą być uszyte z jedwabiu, kretonu itp. Następny model, to kretonowa sukienka plażowa z odkrytymi ramionami i głębokim wycięciem na plecach. Jak sama nazwa wskazuje, suknię tę wkładamy na plażę, a nie, na przykład, na popołudniową randkę w kawiarni. (Chyba, że z tego samego materiału uszyjemy sobie bolerko).

Trzeci model, to także sukienka plażowa z kolorowego jedwabiu w grochy z naszywanymi pasami z innego, wzorzystego, bardzo jasnego materiału. Ta sukienka jest tak ładna, że do niej koniecznie musimy uszyć sobie bolerko — właśnie z tego wzorzystego jedwabiu.

A teraz chodźmy na łody... Uff, jak gorąco!

ROZRYWKI UMYŚŁOWE

TAJEMNICZY TEKST

1				
2				
3				
4				
5				

1	2	3	4

**LKMYTBYOH
LTNMIKUW JNB
ESCSAHK CŁEJŁEKD
Y BSRDSJQ**

Do poziomych rzędów lewej figury wpisać 5 wyrazów czteroliterowych o następujących znaczeniach: 1) Animusz, otucha, śmiałość, 2) Miejsce przemahu zboża, 3) Część przewodu lufy, 4) Diabeł, szatan, 5) Brzeg, kraniec, krawędź. Następnie z liter tych wyrazów ułożyć 4 wyrazy pięcioliterowe o następujących znaczeniach: 1) Produkt zbożowy, 2) Brat ojca, 3) Widomy znak powitania kogoś, 4) Widział, upiór.

Wyrazy te należy wpisać do pionowych rzędów prawej figury. W ten sposób dla każdej litery lewej figury otrzy-

mamy odpowiadającą jej literę w figurze prawej.

Tekst znajdujący się na rysunku jest zaszyfrowany literami figury prawej. Aby go odczytać należy na miejsce poszczególnych liter tekstu podstawiać litery odpowiadające im z figury lewej.

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesła prawidłowe rozwiązania, rozlosowanych zostanie

20 nagród książkowych

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 19 (42)

MAGICZNE KWADRATY: Dni Oświaty, Książki i Prasy (1 — szpik, ziola, pożar, Ilawa, karaś, 2 — komin, opera, metys, irysy, nasyp, 3 — środa, rąbek, obawa, dewon, akant).

Za dobre rozwiązanie zadania z nr 19 (42) nagrody książkowe otrzymują: 1) *I. Aryko* — Częstochowa, ul. Kilińskiego 21, 2) *S. Cwikłówna* — Jasło, Wyd. Zdrowia 3) *Z. Gawrońska* — W-wa, ul. Dąbrowska 18, 4) *A. Gładki* — Jeziora, ul. Stawowa 11, 5) *H. Jonek* — Inowrocław, ul. Kasztelańska 34, 6) *I. Łańcut* — Miedzeszyna, ul. Spacerowa 4, 7) *M. Łapiński* — W-wa, ul. Marymoncka 79, 8) *A. Łępaś* — Zakopane, ul. Grunwaldzka bocz-

na 8, 9) *L. Maciejewski* — W-wa, ul. Wiśniowa 9, 10) *A. Maciolek* — Głubczyce, ul. Słowackiego 2, 11) *B. Majchrzak* — Kraków, ul. Bracka 7, 12) *M. Malaszek* — Radość, ul. Żwirki 10, 13) *B. Mikucka* — W-wa, ul. Okrag 7, 14) *K. Morawska* — Poznań, ul. Obornicka 49, 15) *L. Pozorski* — W-wa, ul. Miodowa 20, 16) *Z. Sobolewski* — Toruń, ul. Lubicka 2, 17) *R. Wakier* — Dąbie, Rynek 5, 18) *E. Wasilewska* — Radom, ul. Marchlewskiego 12, 19) *H. Wojciechowski* — Poznań, ul. Małackiego 3, 20) *Z. Zydrón* — W-wa, pl. Szembeka 4.

Nagrody wysyłamy pocztą i prosimy o potwierdzenie ich odbioru.

FILATELISTYKA

NARODOWY PLAN ODBUDOWY W NRD

W Niemieckiej Republice Demokratycznej ukazała się seria, złożona z czterech znaczków z wizerunkami na temat narodowego planu odbudowy:

12 + 3 fen. lila, 24 + 6 fen. czerwono-brunatny, 30 + 10 fen. zielony oraz 50 + 10 fen. niebieski.

Znaczki drukowane są rotograviurą, mają format 29 x 24 mm i ząbkowanie 13½ x 13. Z. R.



SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet
Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy świat 58. Telefon: Red. Naczelny: 6-10-69. Centrala 6-11-81, 6-12-88. Administracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 7-52-50. Prenumerata miesięczna zł 4.—, — kwartalna zł 12.—, półroczna zł 24.—, roczna 48.—.

Zakłady Wkłoslodrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa” — Warszawa, Okopowa 58/72 Zam. 423. Pap. rotogr. V/80-82 cm. — 3-B-21686

THEATRE SWIAT

DYREKCYJA I TEKST: JAN SZELĄG DEKORACJE I KOSTYUMY: HA-GA

W związku ze zbliżającym się Złotem Młodzieży w Warszawie postanowiliśmy naszej publiczności przypomnieć czasy dawne, a jednocześnie bardzo niedawne. W tym celu zaprosiliśmy na występ jedyną i ostatnią pewną osobę z tamtych właśnie czasów, którą ujrzyeć w monologu pt.

BYWAŁO...



POSTAC: Państwo pozwolą, że się przedstawię. Jestem postacią historyczną, ale w jaki sposób poznać możecie postać, która naprawdę należy do dziejów ojczyznianych. Uczą was tam o Koscie Napierskim, Czarnieckim, Lelewelu, o mnie zaś tylko pogardliwe wzmianki. A ja... Dekiel - Korporancki jestem... No, właściwie, nikt nie wie. No, więc się dowiedziecie. Otóż ja w sprawie leżanej mi najbardziej na sercu. Tak jest, w sprawie młodzieży. Ja sam jestem starym, zasłużonym działaczem młodzieżowym międzywojennego dwudziestolecia i nie mogę znieść tych wszystkich kłamstw o położeniu młodzieży w tamtym okresie. Tych wszystkich komunistycznych kłamstw o złej doli młodzieży robotniczej i wiejskiej i o naszym rzekomym słodkim życiu; nałóżmy, tych, których rodzice na roli, prawda, w kartach, prawda, i tego, no więc jednym słowem ludzie załóżmy, dostatni i tak dalej. Jak było naprawdę? Zaraz wam opowiem.

Było to — że zaczęłam od przykładu — wczesnej jakiejś wiosny roku 1937, może 1938, chyba w początkach marca — wracam ja nad ranem z komersu z Durniem Kastetowiczem.

— Chodź — powiada Durnio — pójdziemy Alejami Ujazdowskimi, trzeba trochę tego eep... trochę wytrzeźwieć, to jest przepraszam — ochłonać.

No więc idziemy. Nagle Durnio jak nie ryknie:

— Patrz, i to ma być sprawiedliwość!

Patrz, a tu na ławkach pełno jakiejś młodzieży, leżą sobie, gazetami się ponakrywali i śpią w najlepsze.

Durnio złapał mnie za kłapy, przycisnął do drzewa i wrzeszczy:

— I to ma być sprawiedliwość! To my od rana do rana działać musimy. Rano na Uniwersytecie komunistów tępić, profesorów wolnomyślnych jajkami obrzucać. Po obiedzie, jak dziś na przykład, konferencja z Hitlerjugend, potem w naszej „Arokonii” komers z Andersem. A potem do rana wódka i szampan, wódka i szampan, aż mi się odbija... A oni co? Cały dzień bruki zbijają. Na Uniwersytecie nawet ich nie przyjmą, takie prawa w Polsce mają. Żadnej pracy! My całą noc w dusznym lokalu, a oni zdrowo, rześko, na świeżym powietrzu. Budzi ich przyjemny chłód, a nie takie zgnie powietrze, jak w naszych przegrzanych mieszkaniach.

— Skandal! — wołał Durnio. — My musimy walczyć o prawa dla całego narodu. Ja się uginam pod ciężarem obowiązków, a oni nic. Im słowiki za darmo śpiewają, a ja na utrzymanie Dzidzi (to takie miłe stworzenie, fordanserka z dancingu) muszę tysiące wydawać...

Tu Durnio zaczął wołać:

— Policja! policja! policja!

Rzeczywiście zjawił się posterunkowy, zaszalutował przed Durniem i pyta:

— Czy mam do domu odprowadzić pana hrabiego?

Bo trzeba wam wiedzieć, że Durnia znali wszyscy policjanci. Nie było takiego w Warszawie, który by go nie odprowadzał nad ranem do domu, wyczerpanego pracą dla ojczyzny.

A Durnio woła:

— To są porządki, to jest demokracja! Zaraz mi tu tych chamów, łobuzów powyrzucać. Te ławki należą do narodu, a nie do jakichś uprzywilejowanych.

Posterunkowy znów zaszalutował i powiedział:

— Wedle rozkazu, panie hrabio, ale my dzisiaj nocy już pięć razy tę hołotę spędziliśmy z ławek, ale ciągle nowi przychodzą, mówią, że bezdomni.

A na to Durnio:

— Bezdomni, nie bezdomni — wyrzucić! Jak kto nie ma domu, to może spać w „Bristolu”, a nie tutaj.

Więc policjant gwizdnął na kolegów, a my poszliśmy dalej i jeszcze po drodze omawialiśmy krój mundurów dla naszych sztafet ochronnych, żeby były ładniejsze od hitlerowskich. Oho, o honor narodu to się wówczas dbało.

I tak było ze wszystkim. Nie to, co teraz. Pytałem wujka, co robi, jak mu parobek zachoruje. A on mi na to krótko:

— Zwalniam natychmiast.

No proszę. A dzisiaj niech parobek w Pegieerze zachoruje, to nie ma żadnej swobody w chorowaniu. Do sanatorium wysyłają, zasiłki płacą. To jest wolność? Wolności młodzież nie ma od dziecka. Wszędzie panuje przymus szkolny. A przed wojną? Każde dziecko mogło już od siódmego roku życia wybierać, czy chce się uczyć, czy nie. Rząd liczył się nawet z wolą dzieci i tak już wszystko zorganizował, że więcej jak milion dzieci korzystać mogło z tej wolności nieuczenia się. I starano się, żeby zasięg tej wolności od szkoły coraz bardziej rozszerzać. Proszę!

A dziś: do szkoły pchają, na wyższe uczelnie namawiają, do pracy zachęcają, z pastuszków naszych robią inżynierów. Toż to przecież zamach na nasz krajobraz polski. Wieś bez pastuszków! — to skandal!

Powiadają sport, wychowanie fizyczne dla młodzieży. Teraz wychowanie fizyczne? Koń by się uśmieł. Przed wojną młodzieży dopiero mieli zdrowe życie. Sen na świeżym powietrzu, mycie w zimnej wodzie — w Wiśle, sucha bułeczka na śniadanie, albo i to nie, żeby żołądka nie przeciążyć. Potem spacer po mieście za pracą, do której nikogo nie zmuszano. Potem postać pół dnia pod Urzędem Pośrednictwa Pracy, albo przed komitetem, gdzie zakupki dawali — to było samo zdrowie. Mój lekarz zawsze mi mówił:

— Zimna woda, świeże powietrze i dużo ruchu — to fundament zdrowia.

No, ale czy ja, czy inni mogliśmy sobie na to pozwolić? To miała tylko młodzież robotnicza i chłopska.

Teraz dla niej niewola i zguba, a jeszcze teraz na jakiś Złot do Warszawy posyłają parę set tysięcy młodych. Za naszych czasów takie okrucieństwo było nie do pomyslenia. Tak samo, żeby młody robotnik czy chłop został na przykład oficerem. Wszystko za nich sami robiliśmy. No i z tym Złotem. Dawniej, jak ze stu tylko takich głupich młodzików się zleciało gdzieś na placu, na Bankowym, Grzybowskim czy gdzie indziej, to zaraz policja im tłumaczyła, że mają się rozejść, a opornych brała na przeszkolenie do obozu w Berezie. Żeby nie przeszkadzali swobodnemu rozwojowi naszej młodzieży robotniczej i chłopskiej. Durnio mi pisze z Londynu, że Amerykanie gotowi są przywrócić tutaj dawne prawa i szczęście naszej młodzieży. Durnio zawsze był idealistą. Ja jestem tutaj i widzę, co się dzieje. Ta nasza młodzież jest stracona. Odpisałem mu, żeby się z Amerykanami nie fatygował, bo naprawdę szkoda drogiego wysiłku na darmo.

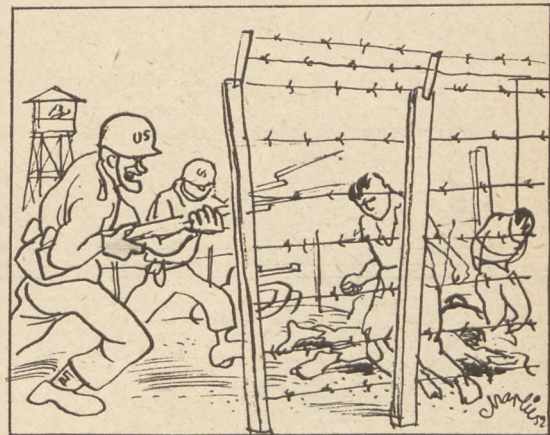
(Kurtyna nad Postacią zapada i nigdy już się przed nią nie podniesie).



„DZIELNI“ JANKESI...



na polu walki...



Rys. Charlie

...i na wyspie Kożedo

Autorem zdjęć do reportażu „PSTRĄGI” na str. 19 jest Konstanty Jarochoński.

ANECDOTY

Bawiąc w Częstochowie Sienkiewicz wstąpił do kramu, ażeby kupić widokówki. Złe jednak trafił, bo wybór był niewielki, zostały tylko wybiórki. Z niezadowoleniem przeczesał Sienkiewicz kieszonki widoczki Częstochowy nie mogąc znaleźć nic możliwego. I już chciał wyjść, nie kupiwszy, gdy właścicielka kramu wyciągnęła z szuflady widokówki z jego podobizną.

— A może to pan kupi? — pyta.

— A któż to taki? — pyta Sienkiewicz, ujrawszy swoją podobiznę.

— To pan nie wie? Przecież to pan Sienkiewicz, ten, co tak ładnie opisał obronę Częstochowy.

— Nie czytałem — odpowiada pisarz — wstrzymując się od śmiechu. — A czy ten pan Sienkiewicz mieszka w Częstochowie?

— Ależ on już dawno umarł! że też to pan nie słyszał o tym...

Aleksander Dumas odbywał wraz z synem, również znakomitym pisarzem, podróż do Szwajcarii. Po przybyciu do Berna Dumas ojciec spostrzegł, że w Rhigi, skąd przybyli, zostawili walizę.

— Widzisz jakimi jesteśmy głupcami — rzecze do syna — zapomnieliśmy zabrać walizę.

Synowi nie podobał się ten epitet, to też rzekł z przekąsem:

— Ojciec mógłby być delikatniejszym i użyć liczby pojedynczej.

— Masz słusność, istotnie wyraziłem się niewłaściwie. Należało powiedzieć: Widzisz, jakim jesteś głupcem.

Lessing, poeta niemiecki z 18 wieku, był człowiekiem bardzo roztargnionym. Pewnego razu wrócił późnym wieczorem do domu. Na schodach było ciemno. Służący, który otworzył drzwi, nie poznał swego pana, więc mówi:

— Przepraszam, ale pana profesora nie ma w domu.

Na to Lessing w roztargnieniu powiada:

— Ach tak, więc w takim razie przyjdę nieco później.

Słynny kompozytor włoski, Giacomo Puccini, gościł pewnego przyjaciela, który uroził sobie, że ma również talent kompozytorski. W pewnej chwili Puccini, będąc w dobrym humorze, zanucił jakąś frazę muzyczną, która winna, jego zdaniem, zyskać uznanie kolegi.

— Jesteś już stary, Giacomo — rzekł gość — napisz zaraz na ten temat marsz żałobny dla ciebie.

Słynny kompozytor odpowiedział z całą powagą:

— Pisz, będzie to pierwszy wypadek, że wygwizdają po grzeb. (f)



Nowe godło W. Brytanii

Rys. Kobylińskiego



OKOŁO 250 TYSIĘCY

DZIECI I MŁODZIEŻY Z CAŁEJ POLSKI WYJEŻDŻA
W PIERWSZYM TURNUSIE NA KOLONIE I OBOZY LETNIE

Fot. „Świat” W. Stawny